

JAN LEMANŃSKI
BASŃ
O PRAWDZIE



NOWY ZBIÓR PIOSNEK
BAJEK POEMATÓW
BASŃI SATYRYCZNYCH
MELODYI I PIESŃI:

BAŚŃ O PRAWDZIE.

F. K. Sikorski

Księgarnia i drukarnia
Grudziądzka Trzeciego Maja 33.

BAŚŃ O PRAWDZIE

NOWY ZBIÓR PIOSNEK
BAJEK, POEMATÓW
BAŚNI SATYRYCZNYCH
MEŁODYI I PIEŚNI
JANA LEMAŃSKIEGO



od Marysi

Zofia Suchaninowa

WARSZAWA, 1910. ✧ NAKŁAD I Druk tow. akcyjn.
S. ORGELBRANDA S-ÓW. ✧ SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘ-
GARNI E. WENDE I SPÓŁKA (T. HIŻ I A. TURKUŁ)

20. IX 94

Zobro'u



CM 314890

Wpisano do Księgi Akcesji

166 2011 CM

Jedyna droga

Rozwinięć i oświeceń:

Droga miłości

I wyrozumienia.

Stowacki. Genezis z Ducha.



BAŚŃ O PRAWDZIE.

Gruddiand 24. lipca 1920.

Stanisław



POŻYTEK I PIĘKNO.

BAJKA.

Dwa kontrasty, dwa światy,
Dwa odrębne cele:
Tamten kładzie pożytek,
Ten piękno na czele.
Dla jednego jest dobrem
To, co się spożywa:
Mięso, drób, ryby, grzyby,
Chleb, lub coś z warzywa.
Dla innych, mniej spożywczo
Patrzących na światek,
Dobrem będzie — przypuśćmy —
Ot, błaha rzecz — kwiatek.

Razu pewnego — iż tak
Powiem — ku wygodzie
Brzuszej, rosła kapusta
W niektórym ogrodzie.
Bez wybujań, bezbarwnie,

Przyziemnie, głowiasto,
Rosta, by być zjedzoną.
Czy bez? czy z omastą?
Czy jadając na świeżo?
Czy gdy się zakwasza —
Kapustę jeść najlepiej?
Rzecz gustu — rzecz wasza.

Koło grzędy warzywnej
O krok — dwa przypuście —
Zdarzyło się i róży
Rość przy tej kapuście.
Płomienna kwiatem, wonna,
Na łodydze śmigłój
I uzbrojona w ostre
Kolce, jako igły,
Róża, szczęśliwa tem, że
Kwiatów się nie jada,
Kłula oczy kapuście.
Ta raz tak powiada:
— Jesteś — mówi — królową
Kwiatów, nie wiem, za co!
Za liść mały? za życie,
Nie ogrzane pracą?
Ja, z głąbem w głębi, wielka,
Z kapuścianą głową,
Ja właściwie, a nie ty,
Winnam być królową.
Najsmaczniejszy, w rodzinach
Ceniony preparat —
Kapusta, a nie róża
Uosabia carat.
Ty, róża, pełna kolców,
Cieniuchna z łodyżki,
Na co żyjesz? kto jada

Twój liść? — chyba liszki.
Ja służę pożytkowi,
Ty — pięknej rozpuście:
Więc komu cześć słuszniejsza:
Róży, czy kapuście?
— Lecz ja (tu róża) pachnę.
Duch — moje jestestwo,
Aromatowi swemu
Zawdzięczam królestwo.
Mniej pożytku, a więcej
Czarującej woni
Kto posiada, ten zdobył
Prawo hegemonii.

— Duch? woń? powiadasz, — zapach?
E, moja kochana,
Ja pachnę intensywniej
Z beczki lub sagana.
Zapachem swym przewyższam
Koper i cebulę:
Mój ród przeto, a nie twój
Powinien być królem.

— Niestety, nie jest — rzecz
Róża tu kapuście: —
Zapach masz i ty, prawda,
Ale w jakim guście?
Choś smaczny, pożyteczny,
Choć nakarmia tłumy:
Nie może być użyty
Liść twój na perfumy.
A mojej woni zawsze
Drogie ludziom fale.
Po tobie zaś zjedzonej
Człek przewietrza salę.

Koniec bajki. Tu dodam
Jeszcze morał tyli:
Wszelka rzecz pożyteczna
Na nic, bez wentyli.
Bo tam, gdzie o pożytek
Ludzie się kłopotą,
Tam nie pachnie ni za dnia,
Ni tem bardziej nocą.

O wy, którzy pożytek
Stawiacie na tronie,
Wybaczcie, dla mnie piękno
W królewskiej koronie.
O, ty, najsmakowitsza,
Przyrządzona tłusto,
Pożyteczna dla zdrowia,
Przebacz mi, kapusto!
O, ty, liściu obszerny,
Nazwany pożytkiem,
Aczkołwiek pożytecznem
Jesteś czemś, lecz brzydkiem.
Róża, chociaż jej niema
W jedzeniowem *menu*,
Dla jej woni królewskiej
Świat jest w uwielbieniu.
O kwiecie, kwiecie piękna,
Choć niepożyteczny,
Jesteś, jak dech, niezbędny
I jak duch — konieczny.



DZIKOŚĆ I SWOJSKOŚĆ.

Jeden ptak żyje nisko,
Drugi fruwa górą;
Być orłem jeden pragnie,
Drugi chce być kurą.
Ptak orzeł jest nie swojski,
Czyli jest ptak dziki.
Kur w wioskach pełniuteńkie
Swojskie masz kurniki.
Lecz dzikość, choćby orla,
Sprzeczna jest kulturze —
Więc tu wam zalecamy
Mieć ideał w kurze.
Nie harda, nie wybredna,
Kura je poślady,
A orłu panu dawaj
Z przednich mięs obiady.
Do lotu wzwyż ma orzeł
Rozwinięte skrzydła,
Wysoki żaden widok

Kury nie usidła.
Najmilszy jest orłowi
Polot po nad chmury:
Nie marzą w tym kierunku
Fruwać zgoła kury.
Pocziwe i przywykłe
Jaja nieść kokosze
I do wysiadywania
Tych jaj wielbią kosze.
Nie tęskni kura nigdy
Za niebieską mrzonką:
Lecz wiernie służy ludziom
Swojskie to stworzonko.
Zaś orzeł nigdy znosić
Ludziom jaj nie będzie,
Nie będzie wysiadywał
Pośród kur na grzędzie.
Jeżeli ktoś go złapie
I obetnie loty,
Niewoli swojskiej nie chcąc,
Woli mrzeć z tęsknoty.
Nad wiejskie syte życie
Z gęśmi i z indyki,
Przenosi nieistnienie
Orzeł — niebyt dziki.
Zrodzony na wyżynach,
Z królewskiego rodu,
Pośladów swojskich nie chce:
Choćby umrzeć z głodu.



Lew, chociaż ma w zwierzyńcach,
W cyrku, mięs odpadki,
Choć mu nie kapie na łeb, —
Nienawidzi klatki.

Przeciwnie osieł: żadnych
Swobód nie ma w cenie,
Bo najbardziej pociąga
Osła — oswojenie.

To, co się kulturalnie
Po naszymu zwie rząd,
Edenem jest dla swojskich,
Piekłem dzikich zwierząt.

Dlatego społeczeństwo
Z osła ciągnie zyski,
A lew jest, jako zbytek,
Wytępienia blizki.

Bezpieczny jest, potulny
Zwierz o długim uchu,
A lew — buntownik, zawsze
Gotów do wybuchu.

Z dobytkiem dźwiga osieł
Rad na grzbiecie juki,
A lew nie będzie służył
Ludziom, jak pajuki.

Więc jakaż ze lwa korzyść?
Widowisko w klatce:
Pogromca, ukazując
Mieszczan go czeladce,

— Oto — mówi — król pustyń,
Lew, wcielona siła,
Którą bat i roztropność
Ludzka poskromiła.

Spójrzcie, jak musi skakać
W obręcz, jak się zbliżam
Do niego śmiało... patrzcie,
Jak mu wprost ubliżam. —

A osieł? Z dawna dzikie
Porzucił zarośle,
Więc mu nie powiesz złego
Słowa, prócz: — ty osieł!

Gdy umrą obaj, z osta
Ma pożytek rymarz,
A lwa najwyżej wypchasz
I w muzeum trzymasz.

Lub w sypialni przed łóżkiem
Rzucisz i z pogardą
Depczesz, odważny człecz, —
Bosą nogą — hardo.



DWA HERBY.

Niechaj z szanownych osób
Odpowie mi która,
Jaki pożyteczniejszy
Ptak: orzeł, czy kura?

Orzeł... (żem odeń zaczął,
Przepraszam was, kwoki),
Orzeł lubi samotność
I lot pod obłoki.
Ma gniazdo na wyżynach:
Gdy bawi w dolinie,
To pewno coś ze stada
Pasterzowi zginie.
Orzeł-rabuś, łupieżca
Królewskim jest godłem.
(Daruj mi, rojalisto,
Jeśli cię ubodłem).

Przejdźmy teraz do kury.
Rzuć na nią żrenice,

Ujrzysz co? że je poślad,
Żyto, groch, pszenicę;
Masz z niej mięso, masz pierze;
Korzyść ta się zdwaja
I potraja, gdy zważysz,
Że ci znosi jaja.
A ponieważ się wszystko
Żywe z jaj wywiodło,
Kura może więc służyć
Nam za życia godło.

Tak więc, szanowna pani
Widzi, że za duże
Przysługi życiu, berło
Oddajemy kurze.

Co do orła, choć kocha
Po królewsku szczyty,
Co najwyżej, mu przyznać
Można — tron bandyty.

Za to, żem był z respektem
Dla kur w tym eposie,
Ufam, że to ocenią
Szanowne gosposie.

Tak, niema to, jak kura:
Przyziemna, lecz zyskiem
Górująca nad orłem,
Szkodliwem ptaszyskiem.

Ponieważ w naszych stadach
Orzeł robi szczyrby,
Nie będziemy brać orła,
Lecz kurę na herby.

Jeżeli, zamiast orła,
Będzie w herbie kura,
Sądzę, że na tem zyska
Szczęście i kultura.

Szczęśliwy naród, który
Kurze cześć oddaje,
Dla jej jaj, bo wszelkiego
Źródłem życia — jaje.

Ufam, że oceniając
Ten взгляд gospodarczy,
Wymalujecie kurę
Na herbowej tarczy.

Narodowi zaś, który
Orła w herb wziął — biada:
Ponieważ orzeł owce
I barany zjada.

Co, jeżeli w narodzie
Baranów i owiec
Zabraknie z biegiem czasu?
Narodzie, odpowiedz.



BAŚŃ O PRAWDZIE.

Od niepamiętnych lat
Baśń i proza są w waśni:
Czy w prozie prawda jest?
Czy też prawda jest w baśni?

Czy lepszy z cegieł dom,
Prawdziwy, prozaiczny?
Czy też baśniowy cud,
Fikcyjny, fantastyczny?

Zapewne, miła rzecz
Fantazja w cudach biegła.
Tak, miły taki dar,
Ale miła i... cegła.

Posiadłeś w fikcyi skarb.
Ale... no, ostatecznie
Nic nie masz, jeśli nic
Nie znaczysz hipotecznie.

Lecz z cegieł mając gmach
(Z oficynami dwiema),
Cóż znaczysz, gdy twój duch
Żadnej fantazyi niema?

Per nefas, lub *per fas*
Hipotekujesz rentę,
Aż też w „fasę“ i sam
Zamienisz się ze szczętem.

Bez fantazyi dom — źle,
Źle — fantazyja bez domu.
A bez obojga jest —
Niżej złego poziomu.

Źle więc: tak, tak i tak.
O związków miłośnicol
Dobrem tedy jest coś?...
Fantazyja z kamienicą.

Bo wtedy można w lot
Mieć zachceń zrealnienie,
Wtedy ci baśnią — byt,
A bytem ci — ba! — śnienie!

Kto dom już ma, niech śni!
Niech czuwa, kto bez domu!
Changez, messieurs, vos dames!
Nie będzie krzywd nikomu.

Fantazyi niechaj kult
Żywią kamienicznicy,
A poeci?... no, niech
Mają po kamienicy.



Finita fabula est,
Bowiem doszliśmy blisko —
Że bliżej trudno dojść —
Gdzie jest prawdy siedlisko.



PIOSENKA O SMOKU.

Na górze, na Wawelu,
Potworny mieszkał Smok,
I zżerał od lat wielu
Dwanaście dziew rok w rok.

Być zżartą każda dziewa
Od Smoka się spodziewa.
I Smok od wielu lat
Co miesiąc dziewę jadł.

— Cóż za potworny stan!
Wawelu mówi Pan —
Wynajdźcie mi człowieka,
Niech mi Smoka usieka!

Niech wszędzie biją w bębny,
Że jest tu taki Smok.
Kto żyw, niech śpieszy w skok:
Tutejszy, czy odrębny.

Niech będzie byle kto:
Czy z nizka, czy z wysoka,
Jeżeli zgładzi Smoka,
Dostanie, jako to:

Więc pańską córę — Kneź,
Dostanie szlachcic — wieś,
A chłop — wolność od batów;
Wór dukatów — kto z katów.

Był szewczyk, zwan Skołubą.
Miał Smok jego jeść lubą.
Powiada sobie — dość!
Tę Smoczą zgubię Mość.

Wziął siarki, utłukł pud,
Z saletrą, z węglem zgniółł,
I zaszył to w baranie:
— Masz, Smoku, na śniadanie.

Rano potwór zjadł wszystko.
W południe chciał się wściec.
Wieczorem spuchł, jak piec.
W noc mu pękło brzuszysko.

Dziew się zgromadził huf.
— Skołubo, ktoś jest rodem?
Jakąż ci dać nagrodę?
Mów, bohaterze, mów!

— Nim szlachcic, anim Kneź.
Cór nie chcę, wieś mam gdzieś.
Ni z chłopów jam, ni z katów:
Nie trzeba mi dukatów.

— Cóż za potworny stan?
Wawelu mówi Pan.
Co robić z takim chamem?
Rzucić go — w smoczą jamę.



PIOSENKA O KRÓLU
I O DAMACH.

I.

Był sobie król raz jeden.
Choć dam miał w koło dość,
Choć damski mógł mieć eden,
Bez dam żył, im na złość. *(bis).*

Zwał damy stadem kwok,
Traktował je z wysoka:
Fałszywy był to krok,
Bo dama — to nie kwoka. *(bis).*

Bo kwokę wabi kur,
A damy kur nie wabi;
Bo kwoka strój ma z piór,
A dama — strój z jedwabi. *(bis).*

Król był z damami zwykł
Nie bawić się w romanse,
Aż dam wywołał krzyk,
Aż dam wywołał anse. *(bis).*

Więc się zawzięły damy
I uraiły wiec:
Już my królowi damy,
Że źle śmiał o nas rzecz! (bis).

Kawaler szuka guza,
Serc damskich studzi war:
Co która chce — rekuza!
Mało nań kar, kar, kar! (bis).

Śmie damy mieć w pogardzie:
Na to się burzy krew!
To nie ludzko! to hardzie!
To... to naturze wbrew. (bis).

Z damą żyć — sens dopiero!
Mój królu, o tem wiedz!
Bez damy coś wart? — zero!
Tak damski raił wiec. (bis).

II.

Ale królewska mość
Odrzecz tak na złość:
Nad kwok... — *pardon!* dam eden
Ja wolę żyć sam jeden. (bis).

Bo do tych, które znam
Kwok... ach, przepraszam! — dam,
Niżeli miałbym płonąć,
To wolę już utonąć. (bis).

Jedna ma za obficie;
Drugiej potrzebne tycie;
Trzecia — jak żurnal mód;
Czwarta ma brudny spód; (bis).

Piąta o dzieciach śni;
Szósta ich ani ni;
Zanadto zimna siódma;
Ósma miłosny głód ma; (bis).

Dziewiąta — obraz trusi;
Dziesiątą lichu kusi;
Zbyt w jedenastej cnót;
Dwunastej cnota — fiut! (bis).

Nakoniec i trzynasta —
Fatalny omen... Bastal
Nie wezmę, du stu lich!
Żadnej, a żadnej z nich! (bis).

Wziąć w łyko mnie nie władna
Małżeńskie żadna, żadna,
Nie władna wziąć mnie, gdyż
Z nią pański miałbym krzyż. (bis),

Podobna dama kwoce,
Wzlatuje nie wysoce,
Nie patrzy zgoła wwyż:
Z nią pański miałbym krzyż! (bis).

III.

Tu zawrzał wiecu gwar.
Król krzywdzi nas wysoce,
Król równa damę kwocel
Na króla trzeba kar. (bis).

Co robić z tym wyrodkiem?
Czy piec go? czy go ślec?
Czy innym karać środkiem?
Tak damski rał wiec. (bis).

Choć wszystkie damy gładkie,
Choć każda dama fest,
Przypina każdej łatkę!
Do licha! cóż to jest? *(bis).*

Śmie damy mieć w pogardzie,
Że nie fruwać w wyż:
To nie ludzko! to hardziel
Hej z nim na krzyż! na krzyż! *(bis).*

Że się do dam nie zbliża
I żyje sam i sam,
Przywiązać go do krzyża
Co najpiękniejszej z dam. *(bis).*

Hej przynieś, kacie, łyka
I króla z damą zwiąż:
Niech wie, co jest podwika,
Niech wie król, co jest mąż. *(bis).*

Wnet łykiem ślubną parę
Związała dama-kat:
Należną ponieść karę
Król musiał rad-nie-rad. *(bis).*

Co dama i damula?
O, przyjacielu, wiedz,
By cię, jak tego króla,
Dam nie ukarał wiec! *(bis).*



DYALOG I.

W spożywczym sklepie raz, gdy zcichła krętanina,
Pan Kawior Astrachański i pani Cytryna,
By czas — po ludzku mówiąc — zabić polityką,
Dały folgę — po ludzku iżby rzecz — językom.

— Czemu ty — rzecze Kawior: — dla doli kamrata,
Dla mnie, zawsześ tak cierpka, zawsze kwaskowata?
Choć mieszkańcy jednego korzennego sklepu,
Masz dla mnie sam jedynie kwas, bez krzty ulepu?

— Bo mię, wbrew mojej woli, porzniętą na części,
Wtłacza w ciebie i wżyma, wciska siła pięści.
Gdyby nie ta brutalnej władzy niedyskrecya,
Byłabym tobie może słodka, jak lukrecya.

— Cytryno! Ty mi nie mów nic na silne pięście.
Kawiozem prasowanym być — to nie nieszczęście.
Ja... choćby mię najbardziej kułaki tłoczyły,
Pozostanę uległym wielbicielem siły.

— Pozostań. Ale mnie się kochać daj w swobodzie.
Ja urosłam w południu, ty — w północo-wschodzie;
Ja swą gienealogię wyprowadzam z drzewa,
Ty pochodzisz z jesiotrów i z białugi trzewa.

— A ja na twą drewnianą plwam arystokrację.
Dziś za mną, za kawiozem, przepadają nacye.
A zresztą myśmy krewni: ja towar, ty towar,
Ja z samowarem brat, tyś żółta, jak samowar.

— Pan się mylisz! Mosiężna demosu hołota —
Samowary, tak, żółte: lecz mój kolor — złota.
Mój naskórek złocisty, złociste me ziarno,
om z kraju, kędy płynie Tyber, Po i Arno.

— Choć w tobie ziarna złote są, a we mie — rybie,
Ale razem oboje służymy przy bibie.
Gdyż nie zaprzeczysz pani, że bibę zaczyna
Po wódeczce kawiozek, z kawiorkiem cytryna.

— Tak, nie mogę, nie mogę zaprzeczyć, niestety.
Lecz *mnie* kwaśno i cierpko być przyprawą fety.}]
Dla *ciebie* zaś, jak mniemam, to okazja luba,
Gdy możesz wrócić, skądś rodem — do kadłuba.

— Nie dotknęłaś mnie, złota pani, ani trochy.
Szczycę się, że mię rodzą jesiotrze patrochy.
Dlatego świat mię ceni wysoce i kocha,
Bo na świecie tym wszystko zmierza do patrocha.

— Fel Fel Cóż to za języki! Cierpnę od tej prozy...
O kraju *mój*, gdzie kwitną, gdzie pachną mimozy!
Gdzie z murów się zwieszają laury i róże;
Gdzie bluszcz, gdzie mirt... gdzie morza plusk o skał
[podnóże!]

— Pil Pil Co za poezyal Lecz, proszę ja pani,
Dla mnie piękniejsza Wołga jest przy Astrachani.
Tam ludu roboczego, jak mych ziarn — aż czarno!
Cóż mi twoje Po znaczy? twój Tyber? twe Arno?

— Ach, tam ja w srebrze liści, w nieba fiolecie,
W niezachmurzonym słońcu, w nieprzerwanym lecie,
Złota rosłam, szczęśliwa, gdzieś na górskiej zboczy...
O kraju mój, co zjawiasz mi się dziś przed oczyma!

— Ba! Choćby nie wiem jaka twa imaginacya,
Jest nad nami silniejsza sklepikarska racya:
Czy urodzony w Wołdze ja, czy ty — we Włochach,
Prędzej czy później wszyscy zginiemy w patrachach.

— Ty muzyku z nad Wołgi, Ufy, albo Kamył
Na gruncie się poezyi z tobą nie spotkamy.
Ty, w którym grzebie kopyść kupiecka, lub pazur,
Możesz-li czuć, co znaczy laur? bluszcz? wód lazur?

— O panie! pozwól, że ci tę prawdę wyłuszcę:
Z kraju rodem, gdzie kwitną laury i bluszcze,
Substancya twoja, chociaż może poetycka,
Ale czcza jest, a moja żyzna, choć muzycka.

— Tak, to prawda, ty jesteś ciemnym, czarnym tłumem:
Ja — złocistym, słonecznym indywiduumem.
To też ty, po muzycku, biernie siedzisz w kadzi,
A mój sok — żrący sok mój żelazu poradził!

— Owszem, zardzewiająca jesteś, ostra, przykra:
Ja — przeciwnie, każdemu miła jestem ikra.
I dlatego smakosze dla mnie są życzliwi,
Ten zaś, kto pokosztuje ciebie — usta krzywi.

— Ale tyś mdły jest, gdym ja w ciebie nie wciśnięta,
Ja jestem, że tak powiem, rozkoszy puenta.
Ty, coś w Woldze świat ujrzał, w Kamie, albo w Wiatce,
Powinieneś się kłaniać mnie — arystokratce.

— Nigdy! Patrycyuszko, ty z Włoch rodowita,
Mnie tam i bez cytryny zje nie-sybaryta:
A ty? — kwas bez wartości, gdyś nie ze mną społem,
Mnie, z Wołgi muzykowi powinnaś bić czołem.

— Nigdy! Ty jesteś taki brzydkil taki ciemny!
Taki bezkształtny! taki jesteś nieprzyjemny!
A ja? spojrzij i daruj, że sama się chwale:
Czyś widział kiedy owoc z piękniejszym owalem?

— Chwalić się formą samą bardzo jest niemądrze.
Tyś owal, a ja — *ova* ryb: jądro przy jądrze:
Wam, owalom, brak spójni, brak wam przylegania,
I dlatego służycie mnie — z pod Astrachania.

— Ach, tak, tak... Urodzona na Łatyńskiej ziemi,
Tu ginę, na obczyźnie, nie między swojemi.
O losie! Bez litości skazałeś cytrynę:
Zrodzona w słońcu, w kawior wyciśnięta, ginę!

Tu Cytryna, wspomniawszy na swój los ten przykry,
Parę kropel łez cierpkich wsączyła do ikry.
O, Cytryno, co cierpisz, Cytryno niebacznal
Im bardziej cierpiąc, cierpniesz, temś bardziej smaczna!



KAWIOR I CYTRYNA.

U Kupca Korzennego

Wyjątkowe pustki.

Słysząc, jak *sam* liczebne dREWienka przemyka
Z klekotem, rzekłbyś — Turek oczka różańcowe,
I czeladnik na szaber sieka cukru głowę,
W przerwach nos operując, bez użycia chustki.

Że ustały chwilowo gwar i krętanina,

Kawioru antał tudzież cytryna,

Gwoli zabicia czasu polityką,

Dały folgę językom.

— Czemuż to — pyta Kawior — imć pani Cytryno,
Kwaskowatą mi niechęć okazujesz miną,

I tak pienisz się na mnie, gdy z ciebie wystrzyka
Na moje ziarna sok kułak kupczyka?

— Boś mi nie brat: mnie w ciebie wżyma siła pięści.

— Ot bajesz — na to Kawior: — społem i ty i ja
Służymy w dziale brzucha *po* jadalnej części;

Oboje mamy zaródź, co życie rozwija,

Oraz podsycą:

Ty kwaśne, a ja przaśne — ot cała różnica...

— Ależ... — Nie, pozwól: bo nawet i z lica
Żółtaś jako samowar, z którym pokrewności

Swej ci dowieść najprościej,

Gdy wątpisz, mogę. — Bynajmniej, ale uważ, faso,
Że mi cierpko to krasić, czem sobie brzuch pasą:
Tobie zaś jeno graj w to, kiedy cię pochłona
Jelita. Boć też, słyszę, pono

Kolebką twą — patrochy

Ryb... — Daj słowo rzec. — Nie, pozwól, że skończę:
Ryb, mówię, wyłowionych z wód Wołgi lub Ufy.

Mą ojczyzną — Włochy,

Matką — ziemia łatyńska, a ojcem mi — słońce.
Tam, wolna, dojrzewałam w powietrznym lazurze...

Ty tego czuć nie możesz, więziony od kufy, —

Nie wiesz, co szafir nieba, co świtania różę,

Co blaski dnia, gdy płoną, co gwiazdy, gdy bledną.

— Hm — Kawior zaharkotał: — nie trafia mi w sedno

Twój *rezon*, i wszystko to — mucha.

Rzecz główna, powtórzę:

Jednej służym oboje sprawie, a tą — sprawa brzucha.

I to ci powiem, że już jeżeli,

To chyba to nas dzieli:

Iż ja składam się w jedno, chociaż z mieszaniny

Ziarn tyłu ryb: wy zaś, kwasoczyny,

By was milion wziąć razem, zawszeście — cytryny,

Nie ma w was tej polewy, tego przylegania,

I dla tego mi wasza za przyprawę służy

Brać lacka, czy łatyńska — mnie z pod Astrachania.

Tu się obruszy Cytryna w kobielei:

— Tak, dla ciebie jesteśmy przed czasem dostania

Strącone, lecz gdybyśmy powisiały dłużej,

To podobnie może winnym gronom,

Z nas, dojrziałych zupełnie, likwor by sycono,

Do którego by Kawior zakąską był święcie...

— Widzę, żeś marzycielka. Ha, gdy ci z tem lepiej
Marz sobie, a tymczasem soczek twój mnie krzepi

Tu łaż cierpka wysączy się z cytryniej skóry.

— Ach, to mnie właśnie boli nad pojęcie,

Że sok mój wytłaczają kawiorojady,

A nie synowie owej ziemi, której

Złociłam sady, —

Ziemi z kąd wzięłam życie, ziemi wolnej, z kądem...—

Tu chce mówić dalej,

W tem weszła panna Zuzia po kupno bakali,

Cukru, kawioru, cytryn i wina — na fundę;

A Kupiec, czujnie słysząc, jak ci rozmawiali,

W trwodze, aby Cytryna tęsknej myśli trądem

Nie zaraziła reszty, leżących z pokorą,

Sprzedał ją onej pannie za groszy ośmioro.



BAJKA O BRYLANCIE.

Rzecz dzieje się wśród stworzeń,
Dla których są chlewy,
Nie gniewajcie się państwo:
Ci w chlewach — to nie wy.

Słów do siebie nie biorąc,
Spokojni zostańcie.
Nie o was tu się mówi:
Rzecz jest o brylancie.



Czy przez dołę swą własną,
Czy przez bogów gniewy,
Dość, że raz pewien brylant:
Zamieszał się w plewy.

A z plewami się dostał
Do świni żołądka.
(Nawet kamienie drogie
Jedzą te zwierzątka).

Po czasie kamień z świni
Wyszedł, przykrzej chyba,
Niżli prorok biblijny,
Jonasz, z wieloryba.

Ach, byli bo szczęśliwsi
Żydowscy Jonasze:
Morski żarł ich wieloryb,
Nas żrą świnię nasze.

U nas istnieć by nie mógł
Typ tej ryby dużej.
Gdzieżby żył? w Wiśle? w Prośnie?
W Wieprzu? czy w kałuży?

Jeśli u nas się trafi
Jaka gruba ryba:
Z Prośny ród ma i z Wieprza,
A nie z Wieloryba.



Otóż gdy brylant wyszedł
Z świni na jaw biały,
Wszystek brud zeń kąpiele
Deszczów opłókały.

I znów ten drogi kamień,
Oczyszczony z szkarad,
Lśnił, jak przedtem, nie gorszy
Ni o jeden karat.

Bo choćby nawet w świńskim
Brylant był żądole,
Wyszędłszy zeń, odzyska
Z tęcz swą aureolę.

Dla świń konflikt z brylantem
Smętnie kończyć zwykł się:
Mrą na chorobę w ślepej
Kiszki appendyksie.



Promieniotwórczy klejnot
Jest nie do przeżucia,
Nie przetrawisz go w swoje
Sadło, ni w uczucia.

Zawsze ci będzie w trzewiach
Brylant stawał sztorcem
Aż o zgubę przyprawi
Swoich lśnień zaborcę.

Chcesz-li cud piękna posiąść,
Nie kładź go do paszczy:
Blasku nie zjesz, a on cię
Z żywota wywłaszczy.

Będzie brylant brylantem,
Choć wmieszany w plewy.
Świń nie zbóstwią świątynie:
Bóstw nie zświnią chlewy.

Brylant, który przecierpiał
Ścisk najgłębszych cieśni,
Nie zgaśnie, uciskany
Od świństw najboleśniej.

I gdy świnię do piekieł
Powoła Hekata,
Brylant wskrzesei swój wszystek
Blask, co do karata.



DYALOG II.

Podróżując po świecie
morza i gnojówki,
Być mi się raz zdarzyło
świadkiem ich rozmówki.
Było to na Lagunach —
gdy kto wiedzieć pragnie —
Dopowiadam — gdzie morze
leży tuż przy bagnie.
— Mój ideał — powiada
morze — dal niezmierna.
— A jam — rzecz gnojówka
zakątkowi wierna.
— Dla mnie — powiada morze —
tem lepiej, im głębiej.
— A ja — mówi gnojówka —
nienawidzę głębi.
W morzu ginie rok rocznie
okrętów bez liku:

Zaś w gnojówce bezpiecznie,
płytko...

— Jak w szafliku.

— No, choćby i tak było?
szaflik daje zdrowie,
Gdy nalejesz doń pomyj...

— Świni, albo krowie.

— A ty? Komuż twa służy
woda gorzko-słona?

— Komu? Cały świat bierze
pokarm z mego łona.

We mnie jakiebykolwiek
od ładu wciekały,
Przemieniam w toń przeczystą
ziemski brud i kały,
A w ciebie, ma gnojówko,
choćby z deszczu czysta
wpadnie kropla, wnet w tobie
staje się bagnista.

— Bo to właśnie jest szczęście
gnojówki...

— Nie świeże.

— Ale bezpieczne, pewne,
bez wstrząśnień, burz...

— Wierzę. Kto napełniony,
jak ty, burzy lękiem,
zawsze będzie, jak bagno,
szczęściem żył maleńkiem;
zawsze się swą płyciutką
głębiną oburzy,
kto mu będzie opiewał
poetyczność burzy.

— Więc mię ulepsz, o morzel —
powiada gnojówka,
Bo mi twa słono-gorzka

przykrą jest wymówka.

— Owszem, ale najlepiej

tem na ciebie wpłynę,

Jeśli gnój twój zaleję

swoim czystym płynem.

Być jedno wyzwolenie

dla gnojówki może:

gdy ją w niwecz obróci

i zatopi morze.

— Jakto? Mam więc się rozstać

z płytkiem szczęściem swoim

I tłuc się po przestworzach

i dręczyć burz znojem?

Jakto? Ma być zburzona

miałka ma pozycya?

Daruj, ale jest na nic

taka propozycja.

Jeżeli mię twój odmęt

z brudów mych odmuli,

Wpadnę w rozpacz, żem zdala

od ziemi — mamuli.

Ja tego nie przeżyję

bez szkody dla zdrówka,

Jeżeli już nie będę

gniła, jak gnojówka.

— Ha, jeśli tak — powiada

morze — cię przestraszam

Czystości perspektywą

i burz, to przepraszam.

Czem nasiąkła skorupka,

nie trącić nie może.

Gnij więc i trąć, gnojówko!

ja odpływam — morze.

Tak się skończył dyalog.

Tutaj się nadmienia:

Trudno morzu dojść z bagnem
do porozumienia.
Płytkość nie znosi głębi;
głębia zaś ma narów:
Składać się z nieobjętych
oczyrna bezmiarów.



ZWIĄZEK.

Ty masz wdzięków aż nadto;
Ja, choć mam ich skromnie:
Pobierzmy się i żyjmy
Od dziś nierozłomie.

Czy kto piękny, czy brzydki, —
Jeśli wierzyć Buddzie —
Wszyscy są jednakowo
Równi sobie ludzie.

Ty równe *Ja*, a *Ja* — *Ty*:
Wyznają Buddyści.
Niech więc się ta religia
Raz i u nas ziści.

Oto, aby żyć życiem
Bratersko jednakiem,
Dzielę się z *Tobą* na pół
Moim piękna brakiem.

A ty mi swoich wdzięków
Udzielasz połowę —
I odtąd prowadzimy
Życie jednakowe.

Żadna już nas różnica
Odtąd nie poswarzy:
Już jesteśmy bratersko
I jednak — szarzy.

Co?... Jeśli ci nie pachnie
Spójnia ta równinna,
Jest jeszcze taka rzeczy
Kombinacja inna.

Zrzuć swój *cały* strój piękny
I na moją modłę
Przywdziej szaty bez gustu
I bez piękna — podle.

Choć podle, ale równo
I bratersko cacy
Znów będziemy oboje
Brzydcy, lecz — jednacy.

Nie?... I tak źle — powiadasz?
A... wiem, co ci świta:
Chcesz, by *moja* na *twój* wzór
Piękną była świta.

Chcesz, ażebym czcił równość,
Ale tylko w Pięknie,
A nigdy w rzeczach brzydkich?
Tak?... Nasz *bund* niech pęknie!

Gdy ma być lepszą *twoja*,
A nie *moja* buda,
Dziękuję. Żegnam. Nie chcę
Żyć, jak uczy Budda.



KWIAT I ŻABA.

Ach, jak trudną jest rzeczą, w toni życia grzązkiej,
Chcieć odnaleźć braterskie, wolne, równe związki!

Albowiem ten z was pojmie, kto w łacinach szpera,
Że *nisi inter bonos amicitia vera*.

Innym, nie łacinnikom, po polsku wyraźniej
Powie, że *tylko dobrzy zdadni do przyjaźni*.



Kwiat piękny, oraz wdziękiem mniej zamożna żaba
Postanowili zawrzeć mocny pakt, jak sztaba.

Że siłę tworzy jedność, a jej brak osłabia,
Niech będzie polityka od dziś kwiato-żabia.

Co moje — twoje: żyjmy od dziś, jak krewniacy,
Miłujący się, bratni, wolni i jednacy.



Ku związkom postępowym niechaj wszyscy płoną,
A dalekoby prędzej stawy zażabiono.

Zlepia, skupia i skrzepia w skrzep — to rzecz widoczna—
Kultura postępową, lub raczej po-skoczną.

- Zjednoczeni, w równości róbmy w skok postępy—
To mówiąc, żaba na kwiat poskoczyła z kępy.



Dobrze. Równość to równość — kwiat powiada — zatem
Proszę cię, moja żabo, zostań, jak ja — kwiatem.

Bądź mi równą. Stój cicho w ziemi, przestań skakać,
Przestań ikrzyć się w stawie nieczystym i kwakać.

Rozkwitnij, jak ja, nasycić przestrzeń aromatem:
Będziesz mi wyzwolonym od brzydactwa bratem.



Na to żaba: — Oddaję słuszość twym powabom,
Lecz przepraszam: dlaczego nie masz ty być żabą?

Chcesz, abym nie skakała do zabiego błotka?
Tego rzeczyć się nie mogę, jako patryotka.

Bronisz kwakać mi, skakać, bronisz mi się ikrzyć?
A, wiesz, że takie pakty mogą mi się sprzykrzyć.



Nie lubię żab (a może kto z was do nich płonie?),
Tak czy nie, tu musimy stać po żaby stronie.

Chcieć żabę zrobić kwiatem, żabę chcieć odżabić,
To znaczy ją odbrudzić, odbrzydzić... no — zabić.

Nad brakiem serca w kwiecie zapłaczmy, jak bobry,
Jaki ten kwiat nieludzki! Jaki on niedobry!



Ach, ten kwiat! Stoi sobie, od sadzawki zdala,
Ani wie, jak nas błoto uszczęsnia, gdy wala!

Kwiat myśli, że esencja życia — w barw powabie.
Ani zna, jakim rajem cuchną stawy żabie!

Kwiat ma nogę?... jeden badył. Żaba — czworonożna,
Pozbyć się więc ma nogę trzech? — degradacja zdrożna.



Lecz wracajmy do paktów. Rzecze kwiat! — Więc jako
Mamy żyć, by żyć wolno, bratnio i jednak?

Wszakże naszych jest natur różna jak natura:
Ja pachnę, kiedy wolisz ty — w gnojówce nura.

Moje barwy, jak radość, mienią się i płoną:
Ty skórę smętnie-nudnie-szaro masz zieloną.



— O kwiecie, choć mój kolor jest zielony szary,
Lecz mam serce, a w sercu — krwi czerwonej wary.

Uzab się, zostań żabą, zszarzej, trochę sparszej:
Będiesz może w szczęśności brzydszej żył, lecz — jarszej.

Twych kochanek-żab harem będzie ikrę miotał...
W zropiałej wodzie będziesz ze szczęścia rzechotał.



— O żab! Woda zgniła, od żab się rojąca,
Kogo, oprócz was samych, w upojenie wtrąca?

Ja gust inny mam. Wierz mi, dla mnie jest rozkoszą
To, jeśli mnie kochanki ludzkie u łon noszą.

My, kwiaty, przyjmujemy wszystkie śmierć, jak jeden,
By na piersi dziewiczej mieć dozgonny eden.



— Poezya, mój kochany. Że cię zetnie baba,
Przypnie na pierś i wacha — bzdury, jak'em żaba.

Co do mnie, znam strach tylko i ból ludzkich córek,
Gdy ja, *żaba*, usiądę której na naskórek.

Wierz, kwiecie, spostrzeżeniom moim o człowieku:
Nizeli z nim, już wolę żyć w cuchnącym skrzeku.



— Nie bluźnij ludziom! Znacz im to, co ja im znaczę:
Daj im kolor i zapach. Żaba co im? — kwaczel

A ja?... Najśłodsza we mnie dla nich cześć się tworzy—
Dla cór ich... Dla nich kwitnę w pons—dla lic ich zorzy.

Gdybyś mogła zrozumieć to pojęciem żabiem:
Co za raj módz swój złączyć liść z ich ust jedwabiem.



— Jedwab!... Są kostropatsze od zgrzebnego płótna!
Z wierzchu jedwab, a w środku — bezmyślność okrutna.

Raz mój brat wyrzał z wody... Przyszła, wzięła kamień—
Bęcl Na śmierć... Po co? za co?... O—w żabę się zamień!

Ja?... Czy komu co złego zrobię?... że pokwakam?
Ach, jak i one kwaczą, jak kwaczą... Jednakam.



Nie lubię żab. A może kto z was do nich płonie?
Jakkolwiek, muszę stanąć po tej żaby stronie.

Za *kwak* ją kamieniuje bez serca iskiarki
Ludzkość, która ma sama *kwakrów* i *kwakierki*.

O, *kwakry* i *kwakierki* jedwabne, podniebne
I satynowe z wierzchu: spojrzij w środek — zgrzebne.



Ale *ad rem*. Kwiat żabie rzekł tę prawdę nagą:
Ludzkość was kamieniuje, boście dla niej plagą.

W maj, gdy kwitnę, w milczący wieczór, lila-złotem,
Gdy w ludziach kwitnie cisza, ty ją — drzesz rzechotem.

A w noc, gdy ogród pachnie miłością człowieczą,
Gdy ja pachnę kochankom: cóż im żaby? skrzeczą.



— O kwiecie, gdybyś ty czuł to, co my czujemy,
Pewniebyś w nocy nie stał, jak mogiła, niemy.

Gdybyś czuł, jak nam stawu pachnie woda śmiardła,
Jak się nurzać w niej słodko — darłbyś się, co gardła.

Być w kąpieli z kochanką najplugawszą w świecie,
Tałać się, babrać, brzechtać!... kwiecie, kwiecie, kwiecie!...



— A mnie, kiedy dziewczyna zerwie rączki bielą,
Gdybyś wiedziała, jak się listki me weselą!

Jakie mię ogarniają ekstazy przedzgonne,
Gdy ostatnie wydaję dla niej tchnienie wonne.

Umierając, tak jestem blizki jej powabom,
Tak blizki, że... umieram, kwiat. O żabo, żabo!



Lubię kwiaty: bzy, róże, gwoździki, lewkonie...
Dlatego muszę podnieść głos tu w ich obronie.

Kwiaty rwać i na łonach wtrącać w śmierć powolną,
Czyż to jest tak bratersko? równo? czy tak wolno?

Czyż takie kwiatorwaństwo można zwać postępem?
Czyż to postępowanie nie jest wolnym stępem?



Chociażby, jako żaba, brzydką była z liczka,
Nie będzie powabniejszą z kwiatkiem u staniczka.

Nie ozdobią panienek, co mają złe twarze,
Kwiatków na kapeluszu całe wirydarze.

A ta, która jest licem, jak jabłuszko, gładka,
Będzie miła i śliczna (sama kwiat) — bez kwiatka.



To rzekłszy, wróćmy znów do naszego tematu,
Ostatnie słowa były, zdaje się, że kwiatu?

Zdaje się o morderczym dziewczęcym powabie,
O śmierci na ich łonach powiadał kwiat żabie.

Na co żaba kwiatowi odparła złowieszczco:
Ludzie sieją, gdy źli—śmierć, i śmierć—kiedy pieszczą*



Gdym żaba, chcą mię zabić, gdym kwiat—złamać pragną.
Wiesz co, bracie kochany, wolę swoje bagno.

Wolę tatarakami zarośniętą głuszę
Nad wszelkie znajomości z ludźmi i sojusze.

Żyj z nimi, aż cię złamią i rzucają na śmiecie,
Piękny mój, wonny, ale nierozumny kwiecie.



To powiedziawszy, żaba w wodę dała nura:
Inna żab jest, a inna kwiatów jest natura.

Kwiat, choć go białe ręce łamią, gdy pochwycą,
I choć go uśmiercają, będzie kwitł dziewczicom.

Miłość będzie wyznawał im kolorem kwietnie,
Nie bacząc, zali urwie ktoś go, albo zetnie.



Tak to, pomimo wszelkie braterskie principia
Postęp zalet nie stwarza, przywar nie usypia.

Będzie bratersko rówien, wśród równych, i wolen,
Kto do wolnego bractwa z natury swej zdolen.

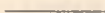
Zaś pomimo braterskich principiów powaby,
Nie pojmie żaba kwiatu, kwiat nie pojmie żaby.



Chłopaczek będzie zawsze, chodzący nad stawkiem,
Z rzucania kamykami do żab miał zabawkę.

Panienka będzie zawsze z kwiatków wianki plotła,
Nie bacząc, ilu listkom słodkie życie zgmiotła.

Chociaż mrą kwiaty — rączek bezlitosnych jeńce —
Będą zawsze z weselem kwitły im na wieńce.





GOŚĆ W DOMU —
BÓG W DOMU.

PIÓSENKA.

O ty, spokojna, cicha,
Polska nasza wiosko!
Jakże bosko cię witać!
Jak cię żegnać — bosko!



Gość w domu — Pan Bóg w domu.
Czcząc to przykazanie,
Wsi pan ugascza gościa
Niewypowiedzianiel

Gość pokój ma paradny;
Łoże - szyk z piernatem;
Luks - biurko; umywalnia;
Szafa; bukiet (latem).

Ni zmrozić może gościa
Co, ni co mu dopiec,
Jest lampa, lustro, lichtarz,
Piec, do butów chłopiec.

O czystość szat się „młodsza“ —
Nie najstarsza — troska:
Gość, słowem, jako Bóg jest,
A ja niebo — wioska.

Co tylko sobie przyśni
Gość i co zamarzy,
Jak Pan Bóg w siódmym niebie,
Ma od gospodarzy.

Park, łąkę, staw i las ma,
Woń pól, kwiatków rwanie...
O, szczęśny gość, o szczęśny
Niewypowiedzianie!



Nie przetał jeszcze oczu
Gość i nie wstał z łóżka,
Już przy nim jest gospodarz,
Najoddańszy służka.

W pantoflach, w rozczochraniu,
Mile — poufało,
Serdecznie wbiegł do gościa:
Bonjour! Jak się spało?

W śniadaniu gość ma zwyczaj
Jaki? — niech orzeka.
Czy herbat? czy czekolad?
Czy chce kaw? czy mleka?

Gotowe to, a tamto
Wnet przyrządzić da się.
Jest wszystko. A co nie jest?
Chyba — mleko ptasie.

Niech gość przywdziewa ubiór
I niech szybko śniada.
Pól pokaz, łąk i lasów
Dziś i koni stada.

Na jutro jest krów rewia
I... chel chel... wieśniaczek.
Masz, gościu mój, obejrzyć
Wsi mej każdy kłaczek.

Wieś — to ja. W absolutnem
U mnie jest prawidło:
Gość *mój*, więc musi poznać
Każde *moje* bydło.

Na żywy *mój* inwentarz
Na *mój* lud roboczy,
Na wszystko ucz się patrzeć
Tu — przez *moje* oczy!

O, wieś to jest... zobaczysz —
Gnoju przerabianie
Na chleb, i *vice versa*,
Niewypowiedzianie!



Wracają z szop oględzin,
Obór tudzież stajni,
Zbłocony dziedzic z gościem
Przenajniezwyczajniej!

Ma szelma ogień ogier,
Ma wybuchy buhaj —
Gospodarz mówi mówi,
A ty, gościu, słuchaj!

Nim zwoła nas do stołu
Obiadowy dzwonek,
Pójdź, gościu, nie zawadzi
W gardło wlać kilonek.

Coś przetrąć, lecz najwyżej
Dzwonko zjedz śledzika:
Smak stępisz, i zła będzie
Moja magnifica.

A teraz siądź tu w fotel,
Gość, i nadstaw ucha,
Rad jestem *niewymownie*,
Jeśli gość mię słucha.

Zaś inne jeśli śmie mieć
Od mojego zdanie,
To w duchu niech je dusi —
Niewypowiedzianie!



Otwieram dno ci szuflad —
Wspomnień mój fermorał:
Tu ślad masz, jak-em w życiu
Gnoił grunt i orał.

Stóg listów tu miłosnych,
Tu bróg fotogramów.
Prawd kłósy masz, jak w polu,
Masz i kąkol kłamów.

Włos szatyn tu, tu brunet,
Tu masz włosy blondyn,
Tu stempel: Berlin, Paryż,
Tu — Ostenda, Londyn.

Od pani Igrek listów
Zwój, związany w snopek:
Wykrzyknik był jej stylem,
Oraz wielokropek.

Ta serya w żółtej włócznie:
To są wspomnieniny
Uległej, miękkiej, lepkiej
Kobieciny — gliny.

Pęk inny listów... Miała
Czarne włosy do ziem,
Bez gnoju wydawała
Sto ziarn, jak czarnoziem.

Patrz — ta znów była z tych, co
Nic z niej nie wydrapie,
Órz i włócz ją, a ona —
Zimna rola w sapie.

Ten widzisz w wypłowiałej
Włócznie mały zwitek?
Jałowa egoistka
Pusty nieużytek.

A tu masz od Iks panny
Strzęp zeschłego kwiatka:
Był ugór, dziś uprawna
Od *iks* lat mężatka.

Tak... Chwila chwilę goni...
Wiosna dni dziewicza
Dziś jest, a jutro po niej,
Jakbyś trzasnął z bicia.

Eh, co tam!... Dar modystki
Ta plecionka wstążek.
Był kwiat... Zrywałem listki
Iks lat, za pieniędzy.

Fotogram. Co za piękność!
Aż się oko wsysa.
Jak Venus!... Ach to ja jej
Byłem za Parysa.

O, była, była orka,
Włóczka, siew i żniwo.
O szczęśny! szczęśny! szczęśny!
Był, *sub Jove divo!*

Tak, gościu mój! Zaliczył
Mię Bóg nie do kalek:
Talentu-m nie zmarnował,
Ani-m pól nie zaległ.

Eh, co tam!... Z gnoju chleb — człek,
Żer ma robak — z trupa.
Dość gawęd. Amen. Gościu,
Chodź! Wystygnie zupa.

Franciszek! W lot się zwijaj!
Żono! Win przystawciel
Musimy z moim gościem
Spać się w bruderszafciel

Dać markę, com sprowadził
Był na wjazd biskupil
Dozgonna niechaj przyjaźń
Nasze serca skupil

Do kupy niech nas skupi,
W jedno serc zbratanie
Ten węgrzyn: jest biskupi
Niewypowiedzianiel



Dzień, dwa, trzy skupia, cztery.
Na dzień piąty gościa
Po cichu, potem głośno
Śle się do wciurności.

Przyjechał żonin kuzyn
Dziś na kanikułę.
O, witaj, nowy gościu,
Pójdź w objęcia czułe.

A stara precz przyjaźni,
Iżes już nie nowal
Dziś w naszym domu nowa
Kolej kuzynowa.

Dziś kuzyn niech dostanie
Bardziej szyk twój pokój,
A ty już, bracie, jakoś
Się bez szyku lokuj.

Bez rolet bądź, bez lustra,
Piernat miej bez puchu.
Ach, wybac, ty wiesz przecie,
Jak cię kocham w duchu.

Daj buzi. Cmok! cmok! cmok! cmok!
Nie żyw gniewu, bracie.
Polegać przyjaźń wieczna
Ma nie na... piernacie!

Bez puchu pewno twardziej
Ci cokolwiek będzie,
Lecz przyjaźń czyż stanowią
Kłaki piór łabędzie?

Mój druchu stary, wybacz,
Ty tak znasz mię zblizka,
Ty wiesz, co mam tu — w sercu...
No, chodź, dawaj pyska.

Cmok, cmok! Dostaniesz gorszą
Żdziebko umywalnię,
Lecz i w tej umyć można
Fizys idealnie.

Czy skazi twoją czystość
Miska, kapkę kusa?
Na rozum weź, mój bracie,
No... i daj całusa.

Ty wiesz, iż ja dla ciebie
Uczuć mam po wręby,
Że gotów jestem... gotów...
Gotów... No, daj gęby.

A propos. Błat się w stole
Twoim nieco spaczył,
Lecz proszę, byś mu jego
Błatu spak wybaczył.

Nie będę ci już tego
Wkuwał w mózg, mój bracie,
Że przyjaźń nasza zacna
Leży nie na blacie.

Więc uczuć nam nie spaczy
Błat, ni „błatów stówki“ —
Chal chal chal... Daj no jeszcze
Pyska z dubeltówki.

Cmoki cmoki Tak! Mocniej! Krzepciej!
Tak — za szyję ułapi
Tak i tak, po naszymu
W górę go, pod pułapi

Pod pułapi i o ziemię,
Z polska — bęc po prostu.
Pocziwie, jak Bóg kazał,
Jazda — prosto z mostu.

Czy z blach masz, czy z porcelan
Dzban i umywalnię,
To głupstwo, byleś pyski
Umył idealnie.

Masz siennik, czy materac,
Czy śpisz na piernacie,
To głupstwo: główna, abyś
Dobrze spał, mój bracie.

Masz obiad bez nowalii,
Czy go masz z nowalią,
To głupstwo: nadziej brzuch, a
Reszta — kat że pał ją!

Czy „młodsza“ będzie starsza,
Czy cokolwiek młodsza,
To głupstwo: główna, aby
Znała rzecz, jak potra.

I to ci nie powinno
Nadzwyczajnie dopiec,
Że ściągasz buty sam ty,
Nie do butów chłopiec.

Twój zaciekł sufit — *casus*
Nie tak znów złowieszczy:
Zacieka sufit, ale
Tylko podczas deszczy.

A zresztą, bracie, choć byś
Był i w poniewierce,
Zaufaj, iż dla ciebie
Ja mam zawsze serce.

To, gościu mój, zrozumiej,
Że najidealniej
Przyjaźnią czystą można
Żyć bez... umywalni.



O, ty, spokojna, cicha
Polska nasza wiosko!
Ach, bosko jest cię witać!
I żegnać, ach — bosko!

Za pól, łąk woń i lasów
I za kwiatków rwanie,
Uwielbiam cię, o, wiosko,
Niewypowiedzianie!



FERYE.

Na wsi, *procul negotiis*, człęk — od trudów zdala —
Pędzi życie na obraz w Kapui Hannibala.
Wstawszy nie bardzo wczesnie i odziawszy ciało,
Je śniadanie. Ma wszystko, czegoby się chciało:
Herbata jest, jest kawa, z śmietanką kożuszek,
Masło, chleb, ser, bułeczki... Jedz, napełniaj brzuszek.
Jest i miód, który własna dostarcza pasieka.
Człowiek te dary boże całą gębą sieka,
I swój ustrój doczesny, ile sił ma, pasie
Tak, że coraz to więcej, niżli miał, ma w pasie.
Po śniadaniu zabiera się człęk do przechadzki:
Do obór, stajen, stodół zwraca krok nie chwacki;
Na stan pszeniczek w polu popatrzał iżytek,
I taki do południa z czasu ma użytek.
Obiad. Zupa — ideał; wymarzone — mięso;
Jarzyna — boska, jesz ją, aż się uszy trzęsą.
Po talerzach stukają noże i widelce,
Kieliszki dzwonią... Ciasno piersiom w kamizelce.
Pani domu, dziedziczka przytomna i rzutka,

— Niech pan dobierze — prosi — kawałeczek udka.
 Pan zamało kartofli wziął. Nadzionka może?
 Józiu, podaj półmisek. Sama panu włoży.
 O, ten tu kawałeczek — dla pana stworzony. —
 (Ach, jakże to rozkosznie mieć kawałek żony!)
 Po mięsach na stół wjeżdża półmich z leguminą.
 — Proszę! — prosi dziedziczka z uśmiechniętą miną
 I tak ku temu jadłu twój apetyt łechce,
 Że bierzesz, bierzesz, bierzesz, chociaż ci się nie chce.
 Obiadowi rozmowa towarzyszy słodka.
 — Dziś mamy śliczny czasik. — Wczoraj była słotka. —
 — Podobno do Iks pani pan En zapalony. —
 — Słychać, że się rozwodzą państwo Ypsylony. —
 — Jest wiadomość, że zwodzą się, o państwie Zetach. —
 — Będzie pokój lub wojna — piszą po gazetach.
 Owoce. Czarna kawa. Zapalasz papieros.
 Ogarnia cię — po grecku powiedziawszy — Eros.
 Czujesz, że kochasz być do czubka od odziewka,
 Czujesz, że, że... Nastaje poobiednia drzemka.
 Spać zdrowo, gdyś się najadł, nie jest, lecz marzenie
 Senne pcha cię ku łożu nieprzezwyćwienie.
 Boryka się człek ze snem, w końcu się obala
 Na szeslong, wzorem niegdyś w Kapui Hannibala.
 Ten, który był postrachem dla potężnej Romy,
 Śpi dziś tak, że nie łatwo z snu go zbudzą gromy.
 Przespał się. Już na stole podwieczorek czeka.
 Jest, co tylko zapragniesz, prócz ptasiego mleka.
 Konfityry przez panią w cukrze są smażone...
 (O! jakże jest szczęśliwy człek, który ma żonę!)
 — Niech pan raczy—zaprasza—dobrać tych porzeczek. —
 Dobierasz, bo nie lubisz mieć z żonami sprzeczek.
 Teraz trochę winogron? Jeszcze tych malinek?
 Wziąć, czy nie wziąć? Przystajesz i na ten uczynek.
 Po podwieczorku spacer furą drabiniastą.
 Sadowisz się na słomie bok o bok z niewiastą.

Jedziecie, a ponieważ z wybojami droga,
Nie wiesz gdzie twoja wkrótce, gdzie sąsiadki noga.
Co się poprawisz, to was rzuty woza zsuną,
Aż się na koniec musisz pogodzić z fortuną.
Wjeżdżamy w las. Zapachniał naokoło woza.
Pachną nam dęby, sosny, jodła, świerk i brzoza.
Stajemy. Wsiadamy zdrowo i szczęśliwie
I depcemy liść zeschnięty na proch i igliwie.
Las, jako wnętrze tumu, tak jest cichuteniek.
Przerywa ciszę dzieciół, gdzieś kujący w pień.
Towarzystwo się — każdy wedle swego gustu —
Rozsypuje wśród wrzosów, jałowców i chróstu.
Na mech siadasz z swą damą w zielonym wądole,
I choć komar cię użgnął, błogosławisz dole.
Towarzyszka ci twoja nie jest obojętna.
Słyszysz, jak jej w tej ciszy głośno biją tętna.
— Ach! — krzyknie — mrówki po mnie łożą, niech pan
[zdejmie! —

Zdejmujesz umiejętnie owad i uprzejmie.
Twojaż wina, jeżeli insekt posuwisty
W zaślepieniu umyka pomiędzy batysty,
Po drodze przebieżawszy całutką pończochę?
Niechaj będą zdaleka od was myśli płocze.
Niechaj niczego złego nikt nie podejrzewa,
Jeśli byliśmy cisi, jak te ciche drzewa;
Jeśli nam uderzały serca w głos, jak młotkiem,
Jeśli nam było dobrze w tem sam - na - sam słodkiem,
I jeżeli minęła, jak sen, nam godzina,
Choć komary nas cięły i mrówcza gadzina.
A gdy zachód przyoblekł zwolna las w purpurę,
Towarzystwo z powrotem usiadło na furę.
Panowie umieścili się przy damach blisko.
Stangret nad cugowcami wyciągnął biczysko,
I jedziemy przez polskie po drogach wyboje.
Ty z swą damą nie klniecie na los zbyt oboje,

Nie liczycie do jego zbytnich upokorzeń
 Nawet, gdy fura wytnie o kamień lub korzeń.
 Wkrótce nie wiesz, gdzie twoja, gdzie sąsiadki noga,
 Lecz ich zmieszania zwalasz grzech na Pana Boga.
 On to albowiem winien, z Jego to przyczyny,
 Na furze jadąc, ciążą ku sobie kończyny.
 On nas niemi obdarzył. Gdzie się je podzieje? —
 Myślisz i „niech się“ — mówisz — „wola boża dzieje!“
 Która noga jest czyja? — Bogu jest wiadomem.
 W tych refleksyach i innych wóz staje przed domem.
 Wchodzimy do jadalni. Kolacya na stole.
 — Pozwoli pan potrawki z pulardy? — Pozwolę.
 — Jeszcze udko? — dziedziczka błagając zerka —
 — Niech pan dobierze sosul Józiu, sosyerka!
 Niechże pan będzie łaskaw jeszcze kawaleczek! —
 Jesteś łaskaw, bo nie chcesz mieć z żonami sprzeczek.
 Po kolacyi zabawa i przedsenna syesta
 Bliźnich swoich omawia się czyny (*res gesta*)
 Dotąd, aż się niezbiecie ta prawda utrwali,
 Że oni — źli i czarni, my — dobrzy i biali.
 Przyjemnie to jest mniemać, że w całej guberni
 My tylko twardej cnocie zostaliśmy wierni.
 Gdy zło kto zrobił z nas, to dzięki złych intrydze,
 Ale samiśmy zdrowi moralnie, jak rydze.
 Podczas tych rozmów panna, dajmy na to, Wanda,
 Z talentem wyśpiewuje z oper tremolanda,
 Lub jeżeli Bóg talent pannie dał Janinie,
 Ją prosimy, by chciała usiąść przy pianinie.
 Ożywione jej ręką, mahoniowe pudło
 Wrusza człowieka, w którym serce nie ochłódło.
 Patrzysz na ruch tych czarnych i białych kopystek,
 Nazwanych klawiszami, i wzruszonyś wszystek.
 Jeden z białej, a drugi z czarnej klawisz kostki,
 Są, jak w życiu: te dobre, a te złe jednostki;
 Raz jednych, to znów drugich ręką los dotyka,

I płynie tak człowieczy byt, jak ta muzyka.
W ten sposób rozmyślając, czujesz, że ciążenie
Ku snowi cię ogarnia nieprzewyciężenie.
I chociażby ci zagrał teraz sam Orfeusz,
Ponad muzykę wszelką milszy ci Morfeusz.
Jesteś w swoim pokoju. Pytasz się z westchnieniem:
Czemu się na wsi człowiek staje takim leniem,
Który tylko pokarmy gryzie i połyka?
Czemu nas tak skrępował Bóg w rozkoszy łyka?
Czemu stworzeniem pragnąc czystym być i białem,
Musisz się naopychać mięsem i nabiałem?
Czemu niedoskonały jest tak człowiek wszelki?
Tak gdy westchnął, powoli człek odpina szelki,
Zdejmuje ubiór i na łóżko się obala,
Wzorem zniewieściałego w Kapui Hannibala,
Który mając za wodza służyć Kartaginie,
W Kapui na wywczasach, wśród rozkoszy ginie.
Odebrała mu ducha moc rozpustna Roma.
Był jej postrachem: dziś jest, jak lew, który chroma;
Lew, który już nie ściga w stepach dzikiej łani;
Lew, który się w dosyту zanurza otchłani;
Lew, którego na łóżko słodki sen obala,
Wzorem zniewieściałego w Kapui Hannibala.



POLOWANIE.

Kogoby tu dziś zabić? — gdy człek przemyśliwa,
Jest to w życiu tem szarem godzina szczęśliwa.
Na ramię broń wziął, torbę, gwizdnął na wyżlicę
I idzie albo jedzie strzelać w okolicę.
Nad łąkami cudowny różowieje ranek.
Boże! Leci na wystrzał gromada cyranek.
Pif! Paf! Kilkoro sztuk się tego ptastwa tłucze.
Rozlega się radosne skowyczenie sucze.
Pocziwy piesek! • W pysku ofiary przywleka...
Nie, niema przyjemniejszej rozrywki dla człeka.

Polowanie na kozły, albo na jelenie,
Też należy do uciech przyjemnych szalenie.
Co za rozkosz na stanowisku w krzakach zaledzi
Czatujesz z biciem serca, na cynглу masz palec.
Wtem chrustnęła racicą zgnieciona gałązka.
Jest... Pif! Paf!... Trup. Krew cieknie, jak wstążeczka
[wążka.
Oczy zwierzęcia gasną i zachodzą bielmem.

Dumnyś z siebie, żeś takim Tellem jest Wilhelmem.
Pobożnie słuchasz granej na trąbce przegrywki...
Nie, nie masz przyjemniejszej na świecie rozrywki.

Albo dzik! Kto polował w życiu swem na dzika,
Ten wie, że to jest miła rzecz i niezbyt dzika.
Ponieważ dziki mają kłami groźne ryje,
Więc się za grube drzewo człek z kulturą kryje
I czeka... Gdy trzymają psy go już za uszy,
Pif! Pafl! Trup. Cienkim sznurkiem jucha zeń się juszy.
Psy skomlą i nurzają języki w posoce...
Słowem, jest to rozrywka przyjemna wysoce.
Kochasz ten bór, te łąki, te pola, te niwy
I czujesz, żeś jest królem Nemrodem z Niniwy.

Polować na mniejszego zwierza, na zająca,
Również jest to uciecha bardzo wzruszająca.
Ach, pardon! O zającą mówiąc, gdyś rzekł: zając,
Zamiast „kot“, popełniłeś grzech nie przymierzając.
Gdy mówi o zajączym nie „skoku“, lecz łapie,
Łatwo na profanacyi profana się złapie.
Kto nie wie, co w zającą zowie się turzyca,
Tego widać nie tknęła kultury płużyca.
I tego życie nie jest, daję słowo, wartem
Polowania z ogarem, wyżłem, albo z chartem.

O niewypowiedzianą szczęśliwość zahacza
Polowanie na wrony z udziałem puhacza.
Kopiesz dół, chróstem kryjesz go dla niepoznaki,
Sadzasz uwiązanego tuż puhacza na kij,
I w zasadzce tej czekasz pod liści ochroną,
Aż ci zacznie zlatywać wrona się za wroną.
Siedzisz cicho. Do strzału gotowa twa fuzya.
Gdy się wron nazlatuje wielka już profuzya, —
Pif! Pafl... Jest kilka trupów—widzisz z pod przykrywki...
Nie, niema rozkoszniejszej dla człeka rozrywki.

Miło także jest, kiedy cietrzew gra na toku,
Między tem głupiem ptastwem narobić krwotoku.
Ledwie świt. Oczekuje harem kur wśród lasa.
Cietrzew poczyną wobec nich tan lowelasa:
Roztoczył skrzydła, ogon nastroszył puszyście,
Wobec kochanki ruchów wystawia korzyście, —
I gdy się tak w miłosnym szale zacietrzewi, —
Pifl Paf! Posyłasz porcyę śrótu mu do trzewi.
Ogłupiałe rozkoszą stado nie ucieka...
Pifl Paf! — znowu... Nie, niema milszej gry dla człeka.

Strzelaniem do gołębi — *tir'em au pigeon'em*
Zabawiać się — jest także szczęściem wymarzonem,
Jeżeli oczywiście strzelasz bez fuszerek.
Przedstaw sobie zamkniętych z ptastwem klatek szereg.
Gołąb wyfruwa z jednej, w której nie wie, po co
Zamknięto go. Skrzydełka w wietrze mu trzepocą.
Myśli, że jest już wolny, człowiekowi ufa,
Nagle: Pifl Paf!... Posyła śmierć mu twoja lufa.
Zdaje ci się, żeś prym wziął nad Wilhelmem Tellem:
Jemu jabłko, a tobie żywy cel jest celem.

Podobno nie polował, gdy żył w raju Adam.
Lecz za tym czasem ni wy, ni ja nie przepadam.
Jakto? Żyć i morderstwa nie mieć przywileju?
Nie, nie! Na to potrzeba człeka bez oleju.
Więc patrzeć, jak przy tobie tuż młodziutka łania,
I nie czuć myśliwskiego ku niej powołania?
Albo znosić, by śmiały zwierz łądz się, płodzić, cielić,
I za to go nie więzić, nie tłuc, nie zastrzelić?
Nie. Być może to rajem, ale my, Nemrody,
Wolimy być zgodniejszy z prawami przyrody.

A te są: Kiedy widzisz na wolności ptaszę,
Za broń! Pifl Paf! Zabijaj i pakuj w jagdtaszel

Rajem niech sobie żyją mazgaje i beksy.
Ausrotten! — niech wasze każą wam kodeksy.
Widząc, że gdzie samica dziko chowa dziecię,
Tropić ją, szczuć, zabijać i jeść ją będziecie!
Gdy pozwolić zwierzęciu żyć tak, jak chce który,
Wkrótceby nie zostało miejsca dla kultury.
Pamiętaj, iż jest ogień prometejskim darem...
Ognia! Pif! Paf! — niech będzie twoich dni sztandarem.

O Boże! Dziękuję Ci za wszystko wogóle,
Lecz zwłaszcza, żeś wynalazł proch, śrót oraz kule;
Żeś odkrył z szmelcowanych dwóch łuf dubeltówki
I żeś mi na nabycie ich dość dał gotówki;
Że mogę sobie chodzić pod niebem niebieskiem
I polować samotnie, z naganką, lub z pieskiem;
Żeś mi dał pełne ptastwa moczary i łąki;
Że mogę strzelać sobie kaczkę, tudzież bąki.
Zaiste, w życiu ludzkim chwila to szczęśliwa,
Gdy: kogoby tu zabić? w duszy przemyśliwa!



MAŻ I KOCHANEK.

Maż — to amant zmuszony
Kochać przez parocha;
Kochanek — to mąż, który
Nie przysiągł, a kocha.

Mąż — kochanek potrzebny;
Kochanek — mąż zbyt ni;
Kochanek — to mazurek;
Mąż — to bochen żytni.

Chleb na codzień jeść — owszem:
W święto — wolisz ciastka, —
Więc, o panie kochanka
Wpuść do swego gniazdka.

Mąż żonę, jak swą własność,
Często zekpa, zburczy, —
A kochanek? kochanek
Zawsze dobro-twórczy.

Mąż pantofle i szlafrok
Wdziewa od zaślubin,
A kochanek?... Jak kwiatek
Zawsze, jak cherubin.

Sam na sam być z kochankiem —
Raj, bez chmury, troski;
A z mężem samym na sam —
Toż to dopuść boski!

Kochanek jest, jak drżąca
Na cięciwie strzała;
Mąż — kołczan pusty, który
Śpi i chce, bym spała.

Mąż, będąc przekonany,
Że mu nie uciecze,
O żony ma humorach
Nie gorliwą pieczę.

Kochanek, że niepewny,
Co da jutro chwila,
Dziś pilnie się umizga,
Wdzięczy i przymila.

Mąż poza łóżem, kuchnią,
Ani dba o żonę;
Kochanek jej wyklada
Sztuki wyzwolone.

Mąż — jak lód jest przy żone,
Którą widzi co dnia;
Kochanek — zawsze ogień,
Zawsze — jak pochodnia.



O panie! gdy cię wzruszył
Morał moich wierszy —
Kochanka jeśli nie masz,
Niech twój będę pierwszy.

Mąż będzie nam powszednią
Rolę grał natręta;
Ja będę twoim zbytkiem,
Szczęściem twem od święta.

Mąż będzie jak razowy
Chleba glon, bochenek;
Ja będę, jak mazurek,
Słodszy od rodzenek.

Choć będzie kwaśno patrzył
Mąż z podełba na nas, —
Ja będę twym owocem,
Słodkim — jak ananas.

Ja będę kształcił smak twój,
Dbał o duszy cele:
Mąż będzie obowiązkiem
Miał o twojem ciele.

Tak będziem w stanie czystym
Żyli, jak cherubi —
A gdy potrzeba zajdzie,
Mąż twój stan pogrubi.

O panie! Niech cię ujmie
Moich wierszy tkanka:
Jeżeli jeszcze nie masz,
Miej od dziś kochanka.



ŻONA I KOCHANKA.

I.

Kobieta, jak i każdy
Twór na ziemskim globie,
Ma duszę i ma ciało.
Żyć chcą rzeczy obie.
Potrzebę jedną żywi
Mąż — materyi bryła;
Dla drugiego popędu
Jest kochanek — siła.
Materyę z siłą znaleźć
W jednym jest nie sposób...
Dlatego żonie męskich
Dwóch potrzeba osób.
Osoba pierwsza: ziemskiej
Majętności mienie;
Osoba druga: wszelkie
O niej zapomnienie.
Ciała należy nie być,
Ani ducha sługą;
Daleko lepiej zdobyć
Jedną rzecz i drugą.
Jest słuszniej, gdy się życie

Rozszerza, nie zwęża.
Przeto jest mieć kochanka
Dobrze, oprócz męża.

II.

Mąż o wydatkach domu
Niechaj ma turbację;
Kochanek — podtrzymywać
Winien konwersację.
Gdy się zanadto z mężem
Swym obcuje — z bryłą:
Rzecz z kochankiem niezbędną
Kwestyą jest i miłą.
Ach, z nim jest tak rozkosznie,
Jak w śnie, w niebo fruwać,
Poezyę jego myśli,
Jego duch odczuwać!
Gdy z kochankiem sen pocznie
Wić się zbyt zawile,
Należy polot zniżyć
Ku mężowi-bryle.
Inaczej podobłoczne
Nazbyt lotne cwały
„Duch zdrowy w zdrowem ciele“
Hasłoby zachwiały.
Mam męża po kochanku,
Wtedy, wiem: nie zginę,
Bo, prócz kochanki roli,
Funkcye gram żonine.

III.

Przy mężu i kochanku
Żyję życiem żywym

I jestem jakby średniem
Obu ich ogniwnem.
Tą żoną, co jest jedno-
Mężna — *univira*,
Najczęściej pan małżonek
Trochę ponieważ.
Do męża od kochanka
Biedz, i znów z powrotem:
Tak radzę wszystkim żonom
Żyć tem życiem złotem.
Od męża do kochanka
Wzniesć się i napowrót:
Oto idealnego
Życia jest kołowrót.
Nim umrę, nim owiną
W białe mię całuny,
Żyć pragnę życiem, które
Oba ma bieguny.
Tak żyjąc, można sobie
Długo żyć i mądrze:
To całe jądro życia,
Cały byt w tem jądrze.

PRIMA CHARITAS AB EGO.



PRIMA CHARITAS

AB EGO.

I.

Jeden człowiek chodzi boso,
Drugi — w butach: tak chcą losy.
Ten, co lilie równo odział
Ludziom dał nierówny podział.
Miliony dał jednemu,
Drugi zero dostał... Czemu?
Czemu tak fortuna zrząda,
Że mój bliźni bez pieniądza,
A mnie, w sposób niepojęty,
Jak na drożdżach rosną renty?
Do mnie wprost się pcha kapitał:
Do bliźniego nie zawitał.
Jakież to zrzządzenie boskie,
Że nie on, lecz ja mam wioskę?
Że nie ja, lecz on — kłopoty?
Że nie on, lecz ja — los złoty?
Że to nie mnie, ale jemu
Krzyż wypadło dźwigać... Czemu?
Dzięki jakiej swojej winie,

On, choć pragnąłby żyć — ginie;
A ja, chociaż nic mi potem,
Jednak cieszę się żywotem?
Sprawiedliwy, równy podział
Gdzieś na świecie się zapodział.

II.

Jak najpilniej, jak najprędzej
Trzeba wyrwać biednych z nędzy.
Świat podzielić jednakowo
I rozpocząć żyć na nowo.
Dzieli kapitał na dwa się:
Tyle ty miej, co ja w kasie.
Żyjmy w zgodzie i w jedności:
Niech brat bratu nie zazdrości.
Nikt nie może nędzy uledez:
Wszyscy równi, pod strychulec.
Niema kłótni, ni niezgody.
Wszyscy — równe krople wody.
Tak... Lecz tu się zastanowię,
Czy nie sprzeczne to Jehowie?
Czy Bóg chciał, abyśmy byli
Jednakowi, na kształt lilij?
Czy ten, kto pieniądze zbiera,
Jest już w mocy Lucypera?
A ten, komu brak mamomy,
Już do świętych jest liczony?
Pomódz biednym — zawsze, wszędzie,
Ale jak? by nie być w błędzie.

III.

Wczoraj na ginących z głodu
Dałem swego pół dochodu.

Dzisiaj znowu ktoś umiera.
Dałem. Zszedłem sam na zera.
Jutro, jeśli na mnie natrze
Żebrak, czemu go opatrzę?
Aby dawać jałmużny
Sam mieć muszę trzos nie próżny.
By mieć litość dla suterena,
Sam mieć muszę wielki teren.
Aby kochać móżdżek poddasza,
Muszę mieszkać sam, jak basza.
Muszę dwór mieć sam, jak króle,
Aby biednych kochać czule.
Bo gdy człeka trapi nędza,
Precz biedaków poprzepędza.
Gdy samego coś go boli,
Jakże współczuć ma niedoli?
Gdy samego dręczy bieda,
Nic a nic nikomu nie da.
By się ćwiczyć w dobrym czynie,
Sam mieć musisz pełne skrzynie.
Aby wspierać móżdżek biednego,
Prima charitas ab ego.



BAL.

Wiersz do wypowiedzenia
na balu dobroczynnym, z ce-
lem naukowym.

Cni panowie i cne panie!
Proszę was o posłuchanie.
Co jest bal, do czego zmierza?
Pomyślmy przez pół pacierza.
Miłujący człowiek bale
Rozrywa się doskonale.
Bo ramiona dam i biusty
Obnażone ma, bez chusty.
Więc, szanowne zgromadzenie,
Celem balu — obnażenie.
Zgodził — powie ktoś mi z gości —
Ale jakiż cel nagości?
Za odpowiedź tu wam rzucę:
Nagość — celem i w nauce.
Naukowych dzieł powagi
Czegóż łakną? — prawdy nagiej.

A na balu też utrafia
W ten sam cel — choreografia.
Pani, w tańcu pełna werwy,
Jest mądrzejsza od Minerwy.
Pan, w tańczeniu nie kaleka,
Więcej umie, niż Seneka.
Piękność biustu i kibici
Uczy prawd najznakomiciej.
Nauka się odkryć chwyta,
A biust w tańcu — rzecz odkryta.
Bez tiulików i bez gazek,
Biust — najmiłszy wynalazek.
A więc, na balowej sali,
Nagą prawdę-śmy poznali.
Bo bal z naukowym celem
Dobrym jest nauczycielem.
Nie w muzeach, nie w Talmudzie:
Prawda jest — w dekolcie cudzie.
Świątą prawdą, niewzruszoną,
Jest dziewczyny nagie łono.
U — niestety — starszej damy
Tych prawd nagich nie szukamy.
Szanowniejsze, starsze łono
Prawdą jest, lecz już wzruszoną.
Przeto, wolna od badania,
Starsza prawda się osłania.
W rypsy, w jedwab, w tarlatany
Chowa nagość biust zbadany.
Ale za to pierś dziewczęca
Na żer oczów się poświęca.
Patrzcie wszyscy, na tym balu
Naga, świeci, bez woalu.
Prawdziwości jej poręka,
Że obnażeń się nie lęka.
Ni w muślinach, ni w batyscie:

Naga, świeci nam przeczyście.
W elektrycznych lśnięć topieli,
Ona świeci najprzebielej.
Życiodajna, życio-chciwa,
Jasna, młoda, naga, żywa!

Ach, uczeni naukowce,
Wasze prawdy — to manowce:
Przy retortach, pośród tygli,
Prawd szukacie, wy — wystygli.
Kto nie kochał, nie całował
Nagiej prawdy, ten żałował.
Gwoli naukowym celom,
Prawd dziewiczych wzgardził bielą.
Wdychał kurze muzealne,
Pisał dzieła kapitałne.
Aż doń przyszła prawda naga,
I mówi mu: wszystko blaga.
Laboratoryjne trutki
Połykałeś — dziś masz skutki.
Dzisiaj biedny, sam, na balu
Siedzisz w kącie, pełen żalu.
Dama w tan cię nie wybiera:
Chce bez nauk kawalera.
Bez sekstantów, astrolabij,
Tańczący miłszy drab jej.
Ty, choć wiesz, jak trawa rośnie,
Lecz nie kochasz dam miłośnie.
Ciał niebieskich znasz odruchy,
Lecz nie ziemskich: płacz ze skruchy!
Tancerz, chociaż nie uczenie,
Nagich prawd ma objawienie.
A ty? W sercu skargi nuta:
Szczęścia-ś nie miał ani łuta.
Tłum w mazurze takt łomoce:

Ty — połykasz łyż sieroce.
Szczęścia nie masz, ni wesela...
Innym, innym gra kapela.
Choć z rozumem nie Minerwy
Tańczą damy, pełne werwy:
Ty, choć mądry, jak Seneka,
Siedzisz smutny, sam, z daleka.



DOBROCZYNNOŚĆ.

Niema szlachetniejszej sprawy,
Niżli nędza dla Warszawy.

Sztuk ni nauk cel nie wpędza
Tyle miasta w szął, co nędza.

Więc spektaklów u nas mnogich
Tytuł: pomoc dla ubogich.

Dla nich bał, obrazy żywe,
Urządzają damy tkliwe.

Dla nich odczyt, koncert, drama,
Kiermasz, wenta, panorama.

Na rzecz biednych czyn kobiecy
Dobroczynej łaknie hecy.

W imię nędzy i literat
I poeta ciągnie kierat.

W sumie — na rzecz biednych dyska,
Lecz społeczność na tem zyska.

Zło biedaków żre, jak żarło,
Lecz sto małżeństw się zawarło.

Plon spektaklu na nędzarzy:
Sto romansów się kojarzy.

Tak więc się zaprzeczyć nie da:
Że wspomaga szczęście bieda.

Tak, ma nędza bytu rację:
Podtrzymuje gieneracye.



O tak! więcej, niżli inny,
Naród nasz jest dobroczynny.

Więc nad nami żadna klęska,
Nie powinna być zwycięzka.

Jakoż nie jest. Bo w Warszawie,
Bał za balem, co dzień prawie.

Za pomocą balów nędza,
Śpiewajaco się odpędza.

Balem można się zabawić,
Jednocześnie i kraj zbawić.

Narodowe wzmódz uczucie
I nędzę można w raucie.

Dla nas radość z went, z kiermaszy,
A dla biednych — porcy kaszy.

Dama prosi tak milutko:
— Na rzecz biednych daj rzecz krótką.

Proszę, nie rób korowodów:
Tyle jest na świecie głodów.

Dobrodziejstwo zrobisz wielkie,
Daj na rzecz ich wiersz, nowelkę...

Im z niej — chleb, tobie — reklama,
A mnie z tego — panorama.

W imię biednych, daj rzecz krótką —
Prosi dama tak milutko.



Dobrze. Czuły na dam lament
Biorę pióro, blok, atrament.

Siadam, piszę rzecz tę krótką
Przeciw nędzom, łzom i smutkom.

Bal. Tłum przez noc w tańcu dryga.
Koszt zjadł zyski, saldo — figa.

Moc posażnych czarodziejek.
Profit — kilka dał kopiejek.

Koncert. Gra na fortepianie
Wirtouz. Biedak — grosz dostanie.

Raut. Pokaz kostyumów.
Zero — na rzecz biednych tłumów.

Odczyt. Sukien damskich pochód.
Krocie — nakład, grosze — dochód.

Koncert z dobroczynnym celem
Jest narodu zbawicielem.

Na choroby i na śmiercie
Społeczeństwa lek — w koncercie.

Śpiewak zamigotał trelem,
I jest kraju zbawicielem.

Wirtuoz dotknął się klawiszy,
I już naród szczęściem dyszy.

Na estradzie deklamacya...
Brawo! Polski reformacya.

W kabaretach, dla rozgrzewki
Serc, wesole dzwonią śpiewki.

Pełna dymu huczy sala.
Bankiet. Naród się wyzwala.



Tam gdzieś skrzypią szubienice...
Furda! Garson, lej w szklanicę.

Tam gdzieś kogoś, ktoś tam wiesza.
Głupstwo! Nas tu *witz* rozśmiesza.

Przy stolikach rojne tłumy,
Pachnie wódka, dym, perfumy.

Krew w słuchaczu oraz widzu
Rozpłomienia śpiew o rydzu.

Tam gdzieś kogoś kat na belkę
Ciągnie?... Garson, daj butelkę!

Z ideałów naszych kpili:
Dziś będziemy za nich pili.

Z żył pragnęli krwi nam ulać,
Dziś możemy za nich hulać.

Towarzysze, ideowce!
Dziś kat strzyże was, jak owce.

Było słuchać nas, pasterzy...
Garson! Dawaj kruszon świeży.

Chciałeś zbawić świat, chłopczyku,
Odrodzeniem? — wiś na stryku.

A nas niechaj śpiew odrodzi,
Jak na rydze Kasia chodzi.

Wierz, słuchaczu mój i widzu:
Kwintesencja życia — w rydze.



RES SACRA MISER.

Po łacinie okrzyknięto:
Że jest biedny rzeczą świętą.

Co w języku polskim znaczy:
Świętość nie jest rzecz bogaczy.

Albo, mówiąc jeszcze prościej:
Bogacz — niema nic świętości.

Loika by ścisła rzekła:
Bogacz rzecz jest rodem z piekła.

Nieomylnie ztąd wywiodę,
Że jest biedny z nieba rodem.

Bogacz, biedny, w jednym słowie
Znaczą: dyabli i bogowie.

Tak, bogactwo i ubóstwo
Jest to (*pardon!*) czart i bóstwo.

Prawdą jest niezaprzeczenie,
Że bóg puste ma kieszenie.

Że bogata dyabła scheda:
Również się zaprzeczyć nie da.

Tak, powiedzmy to otwarcie:
Dobrze idą sprawy czarcie.

Najedzony do sytości
Szatan, a Bóg, biedny, pości.

Bo też życie z dóbr wyzute
Pan Bóg znosi za pokutę.

Boska twórczość kary warta:
Czemu, czemu stworzył czarta?



WENTA.

Jest obyczajem
Tu, że w adwencie
Światowe damy
Siedzą przy wencie.

Wenta to okres,
Gdzie dobroczynna
Dama, jak subjekt
W sklepie, jest czynna.

Więc stroi wdzięków
Swoich mamidło
I pieprz sprzedaje,
Książki i mydło.

Znajomych panów
Grono się kupi:
Ten poflirtuje,
Tamten coś kupi.

Damy oczęta
Robią najsłodsze:
Za to się biednym
Ludziom łzy otrze.

Każdy pan coś tam
Złoży na tacy,
Ażeby mogli
Istnieć biedacy.



Zkąd ten obyczaj
Wentowy rodem
W następujących
Strofach wywiodę.

Przykład to świętej
Jest Katarzyny,
Która na cnót tak
Weszła wyżyny.

Mieszkała sobie
W miasteczku Sienie
I rozdawała
Ubogim mienie.

Raz ją zaczepił
Żebrak, gdy Święta
W swej portmonetce
Nie miała centa.

Co począć? Nędze
Bez datku minąć:
To znaczy brzydko
Z cnotą się minąć.

To znaczy złemu
Puścić korzenie.
Tak, było trudne
To położenie.



Przechodził tędy
Rycerz, więc Święta
Ku niemu zwraca
Słodkie oczęta.

Wesprzyj — powiada —
Rycerzu drogi!
Daj mi od butów
Złote ostrogi.

A rycerz: — Dam ci
Ostrogi złote,
Ale ty daj mi
W zamian swą cnotę.

Święta ni słowa
Już nie gadała,
I rycerzowi,
Co żądał, dała.

Było jej ciało
Jemu usługne,
Lecz zarobiła
Na jałmużnę.

— Masz tu — powiada --
Żebraku drogi,
Zastaw, lub sprzedaj
Złote ostrogi.



Tak Katarzyna
Robiła Święta.
Od tego czasu
Datuje wenta.

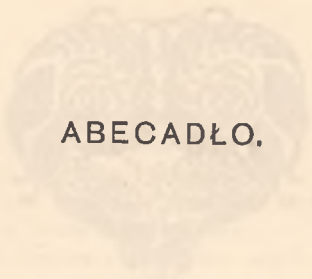
Damy z swych wdzięków
Robiąc mamidło,
Sprzedają książki,
Pieprz, sól i mydło.

Ażeby zadość
Stało się cnocle,
Realizują
Czułość w banknocie.

Damom rumieniec
Kwitnie na cerze,
Gdy się znajomi
Zchodzą rycerze.

Rubli na tacę
Pięć i dwadzieścia
Rycerz dał, jak chce
Wola niewieścia.

Ale rycerze
Są też i tacy
Którzy ostrogi
Kładą na tacy.



ABECADŁO.



ABECADŁO.

Z gramatyk każdy wie,
Że płci na świecie dwie,
I że, jak wszyscy wiecie,
Z tych dwóch jest dziecko trzecie.
Dziś toczy się ten spór:
Kto trzyma prym? Kto wtór?
Inaczej, jeśli chcecie,
Kto pierwszy w tym tercecie?
I która z trzech tych płci
Najbardziej godna czci:
Czy dama? czy mężczyzna?
Czy dziecko? Kto co przyzna.

Co do nas, taka rzecz:
Nasz głos — z mężczyzną precz!
My w życiu się na damy
Li tylko oglądamy.
Więc taki nasz jest głos:
Niech żyje długi włos!

Niech ciałem i niech duchem
Świat idzie za fartuchem!
Najlepiej ze wszech stron!
Matrona niech ma tron,
Niech pali, gra, poluje,
Maluje i króluje!

Mieć kądziel, a nie miecz
Za berło — piękna rzecz.
Dlatego pragnę, aby
Rządziły nami baby.
Porządny byłby rząd,
By zamiast kurzych grząd
Pilnować, żeńskim rodem
Kto jest, był nad narodem.
Więc swoich celem chceń
Miej damę, płeć jej ceń,
I za tą, jeśli nie tą,
Upędzaj się kobietą!

Kto stronnik jest niewieści,
Niech myślą tą się pieści,
Że świata przyszły ster
Do żeńskich przejdzie sfer.
Za trzysta lat pewnikiem
Świat będzie pod trzewikiem.
O ty, co zwiesz się — młódź,
Nadzieją tą się łudź.
Ród męski, stary wielce,
Czas rzucić w ką, na szmelce.
Dziś dama, a nie mąż
Jest górą. W górę dąż!

Gdzie rządy ma męczyzna,
Tam kwitnie co? — niemczyzna.

Ster Francyi dam ma ród:
To proste jest, jak drut.
Zbawiła Francję panna,
Jak wiecie, d'Arc Joanna,
Albowiem król był chmyz —
Mężczyzna, żeby skisł
To jedno jest niegodnie,
Że przywdziewała spodnie
I mężką brała broń:
Od tego ty się broń!

Choć pójdiesz do konnicy,
To zawsze chodź w spódnicy,
W niewieści wdziek się zbrój,
A mężkich nie miej zbrój!
Tu pora w tym wersecie
Pomówić o gorsecie.
Tę rzecz, co dusi pierś,
Stanowczo sobie zmierz!
Nadejdzie ta epoka,
Że będzie jak opoka.
Kobiocy każdy tors,
Choć wyjdzie z mody gors.

Lecz nim się z tą epoką
Spotkamy oko w oko,
O, mężul tem się gryź,
Że żyje gors do dziś.
Że jeszcześmy od brykli
Stalowych nie odwykli,
Że jeszcze taki stan;
Ażeby zbroić stan,
Że mamy życie, w którym
Stan ścisnąć trzeba sznurem;

Że jeszcze niema ciał,
Którychby człowiek chciał.

Lecz przyjdzie taki czas,
Że będzie pierś, jak głaz,
Że pewnie, choć powoli,
Z gorsetów się wyzwoli.
Za trzy tysiące lat
Gorsetu zginie ślad,
I kształt już żadnej żony
Nie będzie ciemieźzony.
Nastanie taki prąd,
Że zginie ten dam trąd —
Gorsety krępujące —
Za lat?... lat?... trzy tysiące.

A teraz, moje damy,
Poważnie pogadamy.
Dla waszych miłych cór
Podaję życia wzór.
Jak trzeba żyć kobiecie,
Sposoby tu zdybiecie.
Znajdziecie tutaj plan,
Jak żyje kobiet klan.
Jeżeli co przeoczę,
Darujcie mi uroczel
Gdy rodzajowi dam
Nieściste wzory dam.

A dama. Wstaje z łóżka.
Przynosi kawę służka.
Poranny kurier zwykł
Przeplatać kawy łyk.
Zabity kto? Kto ranny? —
Opiewa jej „Poranny“.

Kto zgwałcił? Kto co skradł? —
Powiada damie rad.
Romansik — w felietonie
Czytając — dama tonie
I wiedzę czerpie zeń.
Tak się zaczyna dzień.

Be dama. Jej kucharka
Na skąpstwo pani sarka.
Czem dla kucharki targ,
Wie o tem każdy smark.
Od jaj jej coś zostanie,
Zarobi na śmietanie,
I co się tyczy mięs,
Okroi się jej kęs.
Choć pani ma żółtaczkę,
Życiową ciągnie taczkę.
Na złość narzekać sług —
Obywatelski dług.

Ce dama. Przy obiedzie
O kraju mówi biedzie,
Że trudno już to znieść.
A *menu* — potraw sześć.
Ach, biedna ta ojczyzna:
Gdzie spojrzysz — głód, golizna!
O Boże, co za los!
Franciszek, podaj sos!
Od cnót dziś odszczepieństwo;
Upada społeczeństwo;
Kraj biedny; ciemny lud.
Franciszek, szampan w łód!

De dama. *E de domo*,
Działaczka, jak wiadomo.

Na biednych, by się gził
Beau monde, nie szczędzi sił.
Rozwija spryt Minerwy,
By bal miał dużo werwy;
Zużywa wdzięków lep,
By biedni mieli chleb.
Nóżkami w tańcu tupie,
By biedny tłuszczył w zupie;
Na biedny czwarty stan
Do rana huczy tan.

Ef dama. Jest w kościele.
Do Boga stóp się ściele.
Mszy u ołtarzy trzech
Wysłucha dziś za grzech.
Złe było dziś pieczone —
O, przebac, Jezu Chryste!
Był twardy z kaszą zraz —
O Boże, skończ z tem raz!
Z mężusiem były sprzeczki
Przez obiad caluteczki
O źle podany drób —
Z tem, Boże, koniec zrób!

Ge dama. Dobra żona.
W porządku tryb wdrożona.
Strzepuje z mebli kurz —
Ideal zacnych dusz.
Nie spóźni się do biura,
Nie znajdzie w cieście wióra.
Nie będzie gniewny wciąż
Tej damy władca — mąż.
Ma wielką z niej podpore,
Bo wszystko jest na porę;

Na los nie trzeba skarg,
Bo żonie zglął mąż kark.

Ha dama. Żona na nic,
Lecz harda jest bez granic.
Powiada: żonie wstyd,
Ażeby mąż był syt;
Że nie jest tu w haremie,
By myśleć mu o kremie,
Z pod nóg mu zmiatać proch!
(Tu następuje szloch) —
Że w dusz chce żyć zespole,
Nie myśleć o rosole;
Równości pragnie praw...
O Boże, rzecz tę spraw!

I dama. Społeczniczka,
Osterko ma z języczka.
Że bez niej żaden wiec
Nie może dobrze biedz.
Czy ojców wiec, czy matek,
Mów wszędzie ma tematek
I, jak Cyceron ów,
Z namiętnych słynie mów.
Więc żaden Katyliną
Nam nie zabije klina.
Orator nie wiem skąd
Ustąpi przed nią w kąt.

Jot dama — jasny dzień. —
Niekiedy przemknie cień
I znowu jest pogodny.
Nie każdy takiej godny.
A czasem jest, jak mrok,
Nie widzisz w niej o krok,

Lecz chwila przemknie burzy,
I znowu się rozchmurzy.
Choć jest w rzeczywistości
Zamężna, trwa w czystości
Niezapisanych kart:
Nie każdy takiej wart!

Ka dama. Ozdobiła
Się suknią. Ósma biła.
Na koncert pora już.
Hej, drynda, z miejsca ruszył
Już dama siedzi w rzędzie,
Oczyrna rzuca wszędzie.
Przegląda kobiet rój
I bada sukien krój.
Tymczasem już muzyka
Coś na estradzie bżyka,
Już patrzy ócz pięć set
Na kapelmistrza grzbiet.

Ei dama. Świat podbija,
Lecz sama jest niczyja.
Jest wszystkich ku niej pęd,
A ona jest — bez pęt.
Na wszystko to się zżyma,
Co świat w uwięzi trzyma,
A temu duch jej rad,
Co z pęt wyzwala świat.
Lecz fabrykanci oków
Jej strzegą pilnie kroków,
By w danej chwili, w lot,
Jej skrócić wolny lot.

Eł dama. Rodzi co rok,
Ponieważ — mówi — prorok

Urodzi się — a nuż,
Więc mnoż się, mnoż i mnoż!
Na wszystko głucha, niema,
Co z dziećmi związku niema.
Gdy ich usłyszysz krzyk,
Świat cały dla niej znikł.
W *matecznik* weszła, w knieję,
I z dziećmi dziecinnieje.
Jest słodkie to, jak miód,
Lecz na nic psuje ród.

Em dama. Jak chce gadka,
Kochanka ma gagatka,
Co miał ją z drogi zwieść:
Lecz to jest tylko wieść.
Gdy męża niema w domu,
Do ucha szepce to mu:
— Chodź, kochaj, całuj, pieść...
Lecz to jest tylko wieść.
Podobno mąż się gryzie,
Lecz jest trzymany w ryzie,
I musi wszystko znieść...
Lecz to jest wszystko wieść.

En dama. Rzeczą wielką
Jest — jest nauczycielką.
Kto tego stanu dopnie,
Ten wszedł na wyższe stopnie.
Tu powiem pod sekretem:
Być autorytetem
Jest bardzo trudno, lecz
To bardzo miła rzecz.
Nakłania młodzież ucha
I słucha, słucha, słucha,

I wierzy... Przecz-nie-przecz:
To bardzo miła rzecz.

O dama. Tak szalenie
Kocha rozweselenie.
Uprawia z ogniem płas,
Rozżarza się, jak pons.
Wziął tancerz ją ramieniem,
Obraca z zrozumieniem,
Jej rozplomienia krew.
Do rajskich lecą stref.
Wąs czarny ma, jak sadza,
Na pons ją krześle sadza
I rozpoczyna flirt
Na temat: ślubny mirt.

Pe dama. Zawsze chciwa
Napięcia, jak cięciwa.
Naprężyć pragnie łuk,
Byleby strzelec mógł.
Jest zakochana w strzale,
Lecz nie zna, co to żale,
Gdy już skończony strzał,
Do innych wzdycha strzał.
Gdyś stracił już napięcie,
Wykręca się na pięcie
I mówi: gdy już piąć
Nie możesz, no to — siadź!

Er dama. Do noweli
Niektórzy ją popchnęli:
— Pisz — mówią jej — pisz, pisz
Ażebyś poszła wwyż.
Zdobędziesz grosz, wawrzyny
I wejdiesz na wyżyny,

Życzenia nasze ziść
I zdobądź sławy liść.
Więc odtąd bardzo wiele
O swoje dba nowełe,
Lecz nie ma sławy... Ba —
Los o to mało dba.

Es dama. Jak kocica,
Gdy łaską cię zaszczyca,
Gdy myślisz, żeś ją zgadł,
Opuszcza cię, jak gad.
Choć dajesz jej łakotki,
Niewierna, jak kokotki.
Gdyś z niej jest bardzo rad,
Najbliższa wtedy zrad.
Gdy głaszczesz ją po grzbiecie,
Nie ufaj tej kobiecie,
Bo w niej zdradliwość tkwi:
Udrapie cię do krwi.

Te Manie, Hele, Lodzie
Ślizgają się po lodzie
I ruchów ćwiczą wdzięk.
(Byleby lód nie pękł!)
Z pannami krają żaki
Żyżwami lód w zygzaki.
Rzut w prawo, w lewo rzut,
Holender tyłem, wprzód.
Kto umie należycie
Ślizgać się, pojął życie.
Więc tej się sztuki ucz
I po ślizgawkach włócz!

U dama. Jest namiątna,
Jak młot, jej biją tętna.

Być łatwo mógłby krach,
Lecz ją powściąga strach.
Nuż się opinia dowie?
Złych wieści heroldowie
U drzwi czychają tuż
I nadstawiają usz.
Gdy legnie z żądz omamień,
W nią każdy rzuci kamień,
I będzie szczęścia krach.
Dlatego więc ma strach.

Wu dama. Wzór matronek:
Stworzyła sześć ochronek
Dla dzieci — książek pięć:
W tem dobra jest i piędź.
W czynieniu dobrze łakwa,
Więc też ją kocha dziatwa,
Kontenta bardzo, że
Naukę pozna w grze:
Więc śpiewać, jak kantyczki,
Układać w coś patyczki
I z łyczka kosze pleść —
Nauczy się w dni sześć.

Iks dama. Kocha sporty,
Przywdziewa męskie porty,
Rajtszulę zna do dna:
Jak rajtar, konno gna.
Fechtunek zna, bieganie,
Jest mocna w tobogganie:
Jak młody z *Cambridge* lord,
Uprawia wszelki sport.
W tenisie jest wszechwładna,
Że przez nią płeć nieładna

Zepchnięta w kozi róg:
To przyzna jej i wróg.

Y — dama — grek. Aspazyi
Typ, trochę w nim jest Azyi;
Berlina w nim pół sta
Procentu; Polski — krzta.
Lecz, mimo, że tak mała,
Jest polskość wytrzymała,
I ten, kto raz nią żył,
Już jej nie zgubi z żył.
Więc dama, choć *Y* grecka,
Gdy raz ją krew szlachecka
Zabarwi, wtedy już
Wyplenić jej — ni rusz!

Zet dama. W damie Zecie
Zbyt zalet nie znajdziecie.
Rozbierzmy ją do gła:
Zazdrosna, zimna, zła.
Ziet dama — zdroj źródłany,
Przezczysty i świetlany:
To przypływ, co się wdarł
Na oceanu żdziar.
Żet dama: żartka, żywa,
Miłuje cię żarliwa,
I ma ten serca dar
Rozpalać życia żar.

Kochane moje damy!
Niniejszem powiadamy:
Zło — dobro, noc i dzień,
To razem światło-cień.
Kto bierze je, jak jedno,
Ten trafia w samo sedno:

Sen z jawą — rzeczy dwie —
Jednością życie zwie.
Po dniu majowa noc
Zapewnia szczęścia moc,
Po nocy jest konieczny
Rozkoszny dzień słoneczny.

SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ!



SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ!

{Bajka z Tysiąca Nocy I Jednej}.

I.

Za prapradawnych lat,
Gdy bajkom wierzył świat,
W Bagdadzie nad Tygrysem,
Żył człek z tym rysopisem:

Pocziwy sobie człek,
Koranu w miarę strzegł:
Ni za zbyt, ni za słabo.
A zwał się Ali Babą.

Poczucie wag i miar
Jest ważne ze wszech miar.
Dlatego radzim, aby
Żył wzorem Ali Baby.

Przez przeciwieństwa zbieg,
Żył tamże inny człek
Życiem nie miarkowanym.
Alim się zwał Hassanem.

Bez pocziwości krzty,
(Wzoru zeń nie bierz tyl)
Na przekór Ali Babie,
Miłował piękna wabie.

Ujrzawszy piękną rzecz,
Nie zwracał twarzy wstecz,
Lecz patrzył najprzejęciej,
Bez miary, bez pamięci.

Zaś Baba, z miarą człek,
Bezmiarów tych się strzegł;
Od niezmierności zdala,
Wiódł mierne życie drwala.

W las jeździł, rąbał drwa;
Gdy zrąbał pęk, lub dwa,
Na ośta kładł, i z zadu
Szedł, krocząc do Bagdadu.

Pocziwy i nie leń,
W las jeździł dzień po dzień,
I brał dzień w dzień po trochu
Drew, chróstu i paprochu.

Do szczęścia masz-li chęć,
Jak Baba żywot pędź:
Na pęczki mierz go drewnien —
Być szczęścia możesz pewien.

Alkoran mówi tak:
Szczęście — to umiar wag,
Do tego los należy,
Kto waży i kto mierzy.

II.

Raz w lesie Ali Baba
Drwa rąbał z baobaba.
W tem słysząc... tętni las...
Zbójcy!... Na drzewo wlaź.

Chust na łbie zwój, jak sagan;
Łuk, pikę ma, jatagan
Zbój, a pod zbójem koń.
O Ałłal Ałłal Broń!

Z pół setni było draba.
Drży w baobabie Baba.
— Stój! — krzyknął starszy drab.
Wstrzymali zbójce szkap.

Herszt ku zaklętej bramie
Rzekł: — Otwórz się, Sezamie!
Otworło się, i huf
W zaklęty wjechał schów.

To kraju plaga — zbójce
(Baba deliberuje):
Rób, kraju, co chcesz, rób,
A zbójcom dawaj łup.

Z pałaców, chat i chatek
Zbójowi daj podatek;
Kto ma mamony coś,
Oddawaj, proś-nie-proś!

Z całego Halifatu
Powierzyćby ich katu,
By wącili stryków, różg
(Przez Baby przemkło mózg).

Tymczasem kawalkata
Wróciła na wierzch świata.
(Puls w Babie jął się tłuc).
— Równaj się! — krzyknął wódz.

I ku zaklętej bramie
Rzekł: — Zamknij się, Sezamie!
Zamkła się tajnia gór,
I zbójcy jadą w bór.

Chust na łbie zwój, jak sagan;
Łuk, pikę ma, jatagan
Zbój, a pod zbójem koń.
O Ałł! Ałł! Broń!

Z pałaców, chat i chatek
Zbójowi daj podatek!
Oddawaj, proś-nie-proś,
Kto ma mamony coś!

III.

Zcichł tętent w dali — het.
Na ziemię Baba zszedł.
— No — szepnął — pojechali.
Zgub, Ałło, tych szakali!

Tu Baba magią słów
Sezamu otwarł schów,
I patrzy, a tu w grocie
Kroć kroczi leżą krocie.

Rząd szkatuł, worów, skrzyń!...
Gdzie stąpisz, złoto — dzyń!
Kroć brylantowych zniczy
Rozwidnia schów zbójniczy.

— Zbóje drą z skóry kraj.
Lud cierpi od tych zgraj.
Z całego Halifatu
Pod nóżbym dał ich kat!

Na zbójców mało różg
(Przez Baby przemkło mózg) —
Z pałaców, z chat, z lepianki
Drą, tworzą w skale banki.

O Ałło, Ałło, radź:
Co mam z ich banku brać?
Czy kolie, śpile, brosze?
Czy brać gotowe grosze?

Hm?... Zawsze lepszy grosz
Od kolii, śpil i brosz.
Więc Baba, człek do rzeczy,
Dwa wory mach na plecy.

Za skarbca wyszedł próg,
Do oślich wtoczył juk —
Łup, i u zwierza zadu
Szedł, krocząc do Bagdadu.

Pocziwy sobie człek,
Morału w miarę strzegł,
Wierzył w Kaabę (w Mekce),
Kultu nie ważył lekce.

Roztropny i nie leń,
W las jeździł dzień po dzień,
Przywoził znacznej wagi
Ze złotem dwie biesagi.

Z poczuciem miar i wag
Ze skrzyń brał, z szkatuł, z pak.
Co dzień przymnażał schedę
O worów dwa... Bóg jeden!

IV.

Al ilah Allah dał
Ludziom Alkoran (mszał);
W nim dał przewodnią nić:
Jako poczciwie żyć.

Kradzież — najbrzydsza z wad.
Nie będziesz przeło kradł.
Lecz gdy nakradnie zbój,
Miej jego skarb za swój.

Al ilah Allah rzekł:
Na co ci skarbów stek?
Jedź z osłem w las, rąb drwa,
A znajdziesz wór lub dwa.

Choć bezmiar w skarbcu skrzyń,
Ty rzecz swą w miarę czyn.
Miarkować umiej duch:
Od worów zacznij dwóch.

Choć skarb gra ogniem tęcz,
Nie marudź, ani ślęcz:
Łap wory, i co nóg
Za lochu zmykaj próg.

Ze skarbca wzięwszy wraz,
Co tchu opuszczaj las,
Nim wróci z zbójców ktoś
I czemś się kolnie wskroś.

Nie wlepiaj w skarby ócz,
Nie dziwuj się, ni zwłócz,
Zapakuj grosz do trok
I zwróć do domu krok.

Kto w poczciwości trwa,
Ten wory znajdzie dwa,
Przez los mu dane w dar,
Że kult miał wag i miar.

Zachwytu poryw studź,
A nie popadniesz w chuć;
Bezwrażliwość miej,
Żyć będziesz jako bej.

Gdyś ujrzał piękną rzecz,
Zawracaj od niej wstecz,
Do domu z osłem człap,
Nim zbój nadejdzie, drab.

Nie dziwuj się na dziw,
Zdrów będziesz, pókiś żyw,
Pocciwy będziesz człek:
Al ilah Allah rzekł.

V.

Zwiózł Baba wory z skarbca.
— Pożycz, Hasanie, garnca —
Mówi: — Chcę zmierzyć coś.
Będę ci wdzięczny wskroś.

Hassana dziw nagaba:
Co chce przemierzyć Baba?
Czego chce zliczyć lik:
Grusz? kasz? mąk? śliw? czy fig?

Dno garnca spaćkał pakiem.
Dowie się figłem takim:
Do jakich sypkich ciał
Mieć Baba garnca chciał?

Namierzył Baba garncy.
Gar oddał zacnie arcy,
Wedle Koranu ksiąg,
Do właściciela rąk.

Hassan odwraca wznak,
Ogląda w garncu pak:
Złota moneta na dnie
Do garnca przylgła zdradnie.

Przejął Hassana dziw.
— A więc to do tych śliw?
Do tych to zboża ziarenek
Potrzebny był mu garnek?

Pognał ku Ali Babie.
— Mów — mówi, — mój nababie,
Mów, Ali Babo, mów:
Coś sypał w garnek ów?

Nie robił Baba kramu:
O skarbach mu Sezamu
Wszyściutenieczko rzekł,
Gdyż był pocziwy człek.

— Zwróć się ku skalnej bramie,
Zmów: — Otwórz się, Sezamie!
Moc tych magicznych słów
Otwiera skalny schów.

Nie patrz na śpile, brosze:
Lepsze gotowe grosze.
Pamiętaj, nie bądź gap,
Wór monet z brzegu łapl

Słuchaj i wierz mnie, Babie:
Niech zbój cię nie zadziabie.
Odemknij, chwyć za wór
I zmykaj co tchu z gór.

VI.

Nie minął długi czas,
Popędził Hassan w las,
I ku pieczary bramie
Rzekł: — Otwórz się, Sezamie!

Zaklęty magią słów
Otworzył skalny schów.
Otworzył, patrzy — w grocie
Leżą kroć kroci krocie.

Hassana przejął dziw.
Przystanął ledwie żyw.
Płomieniem gra mu bładem
Przy dyademie dyadem.

Migocą ogniem tęcz —
Z zachwytu padaj, klęcz —
Brylantów lśniące znicze
Jak iskry ócz dziewicze.

Nad cud, nad wszelki dziw:
Szafirów tu, jak śliw;
Agatów wór, beryli
Topazów, jak daktyli.

Wzdłuż, wszerek, wzwyż, wprost i wspak,
Skrzyż, puzder, szkatuł, pak...
I w worach i bez worów
Zbójeckich pełno zbiorów.

Czasz, czar przeliczny lik;
Brosz, klamer — jako fig;
Korali sznurów, biczy,
Calutki kram złotniczy.

W promieniach skier i smug
Pierścieni, kolij huk —
Bez szkatuł i w szkatule.
Pajęczyn na nich tiule.

Uryańskich pereł groch,
Rozwidnia bielą loch;
Migocą się agrafy
Z Bossoru, śpile z Jaffy.

Co wydał Sydon, Tyr,
Lśni, jak na plaży żwir,
Jak morskie lśni barweny
W przystani Kartageny.

Kląkł wobec tylu kras,
Zaczarowany w głąz.
Dziwi się, patrzy niemy
Na kolie, na dyademy.

VII.

Na cudów patrząc krocie,
Zapomniał o powrocie,
Ach, było mu brać wór
I zmykać co tchu z gór!

Nie! Niech się dzieją fata:
Nie wróci już do świata!
Na świecie wszere i wzdłuż
Nie znajdzie szczęścia już!

Już tu zostanie w skale.
Nie wróci na świat wcale.
Już póki jeno żyw,
Ten będzie kochał dziw.

Ukocha kwiat dziewiczy:
Promiennosc oczu-zniczy,
Ust koralowych róż,
Perłowe konchy usz.

Na cudne skarbów krocie
Zostanie patrzeć w grocie.
Ach, brać mu było wór
I zmykać, co tchu, z gór!

Nie, niech się dzieją fata:
Nie wróci już do świata.
Na świecie wszere i wzdłuż
Nie znajdzie szczęścia już —

Nad skarb: szafiry oczy,
Trójsplotny pęk warkoczy
Koloru złotych zbóż,
Lic biel i ustek róż.

Nie wróci już do świata,
I niech się dzieją fatal
Już póki jeno żyw,
Ten będzie kochał dziw.

Kwiat kwiatów Halifatu,
Skarb ten wydarty światu,
Dziw złota, bieli róż
Czcić będzie zawsze już.

Czcić będzie sercem radem
I wiernem skarb-dyadem,
Czcić będzie magię słów
I ten czarowny schów.

Było mu słuchać Baby:
Miar czcić i wag powaby;
Ach, było chwycić wór
I zmykać co tchu z gór!

VIII.

Zgrzytło coś... Rzenie, gwar...
Huf zbójców w schwów się wdarł.
Pół setni zbója znów
Wjechało, z hersztem w schów.

Pół setki zbójczych buź
— Tuś, ptaszku — wrzasło, — tuś!
Tyś nasze runo strzygł
Tu twój ostatni dryg!

Skąd lichy cię wytrzasło?
Tyś nasze ukradł hasło.
Tyś skradł zaklęcia zwroty.
Nie wyjdiesz żywy z grotyl

Tu Ali Hassan rzekł:
— Powiem wam, com za człek,
Potem mi życie bierzcie.
Posłuchaj, Ali Herszcie.

Nie pragnę sam już świata,
Więc niech się dzieją fata.
Na świecie wszereż i wzdłuż
Nie znajdę szczęścia już.

Nad te szafiry-oczy;
Nad dwoje tych warkoczy,
Koloru złotych zbóż;
Nad lic biel, ustek róż;

Nad piersi, w tiulu, mleczone;
Nad biel uryańskich lic:
O nic już w świecie, nic,
Na wieki nie dbam wieczne.

Tu wrzaśli zbójcy w krzyk:
— Tyś nasze runo strzygł!
Skarbuś uszczuplił liki
Tu twój ostatni dryg!

I za przykładem herszta,
Cała bandytów reszta
Dobyla jataganów,
Przecięła byt Hassanów.

Otarli ze krwi kordy.
— Na koń! — wódz krzyknął hordy.
Zamkli zakłęty głąz
I pomkli, pomkli w las.

A Hassan tam, wśród gór,
A przy nim cudów zbiór.
Próżno mu lśnią, dziewicze;
Zgasłe ma oczu znicze.

IX.

Wódz w przedzie, reszta w zdwój
Ze zbójem jedzie zbój;
Lśni turban przy turbanie,
Jak meczetowe banie.

Chust na łbie zwój, jak sagan,
Łuk, kołczan i jatagan,
Dziryty, piki, spisy,
Z piór kity, i kirysy.

.

Żył sobie dobry człek.
Praw Alkoranu strzegł.
Cnót zbrojny był kirysem
W Bagdadzie nad Tygrysem.

Pocziwie żył, bez nagan.

.

Łuk, kołczan i jatagan,
Dziryty, piki, spisy,
Z piór kity, i kirysy.

.

Ważył i mierzył byt:
Ni mało, ani zbyt.
Z zachwytu żądz wyzucie
I szczęścia miał papucie.

.

Wódz w przedzie, setnia w zdwój,
Za zbójem jedzie zbój.

Dziryty, piki, spisy,
Z piór kity, i kirysy.

.
Był ważyć-mierzyć zwykł
Garncami groszy lik.
Wyznawał mierne hasła,
Fortuna go upała.

.
Żył także inny człek.
Cnót nie miał ni na lek,
I czarów żył przepisem
W Bagdadzie nad Tygrysem.

Miłował cudów zbiór
Namiętniej, niżli wór.
Żelazo mu zbójnicze
Zgasiło oczu znicze.

.
Dziryty, piki, spisy,
Z piór kity, i kirysy.
Miar dzierżyj się i wag,
Maszeruj wprzód i wspak.

Kto żył bez wag i miar,
Czczył cudów szął i żar:
Utracił życia Eden.

.
Al ilah Allah jeden!

BAJKA
O RYBAKU I O RYBACZCE.



BAJKA O RYBAKU

I O RYBACZCE.

Ukwiał — cud morski, zwierzokrzew.

Był raz sobie rybak młody
z sercem prostaczka.
Niewód, łódka — ot i wszystek
skarb nieboraczka.
Była też, jak zwykle bywa, —
była rybaczka.

Ona serca łowiła: on —
ryby niewodem.
Kochał, jak to zwykle bywa, —
szał w życiu młodem.
Jak Syrenę, ją pokochał,
na swoją szkodę.

Poszedł do niej, gdy mu było
nad wytrzymanie.
Złożył ręce, jak w pacierzu,
klął na kolanie:

— Cóż ja ci mam dać — powiada —
za twe kochanie?

Rzekła: — Chcesz-li, abym tobie
powolną była,
Daj mi rzecz, nad kwiat barwniejszą,
i żeby żyła. —
Ach, rybaczek dusza dziwna
jest i zawiła!

Co tu robić? Ha, co robić?
Prostaczek wstał ów,
Poszedł — niewód, łódź narządził,
i jechał na łów.
Naprzywoził z dalekiego
morza ukwiałów.

Jedne były pozłociste
z zielonym wąsem;
Inne lśniły róż czerwienią
i krwawym ponsem...
Wiózł je w wodzie, by nie zdechły.
— Masz — rzekł z przekąsem.

Gdy którego chce obdarzyć
swoją pieśczętą,
Zaraz taki ukwiał błednie,
traci róż, złoto.
— E, do licha! — rzekła wreszcie
z taką robotą! —

Innej teraz żądam rzeczy:
takiej bym chciała,
Żeby dłużej, dłużej mogła
żyć od ukwiała,

I żeby mi, wedle woli,
zawsze coś grała.

Z ocz rybaka źródł łez trysnął,
wielkich łez-ziarek.
Co tu robić? — myśli biedny...
Narznął fujarek,
Wiesz, wiesz, aż i przywiózł —
nowy podarek.

Jedne grały mu fujarki,
jak ptak z rana,
Z innych grał, jak flet, przelewne,
cudne soprana.
— Masz tu — mówi — przyłóż usta,
graj, ukochana.

Brała jedną — złą; zła druga,
choć dmie w nią chciwie.
Grają wszystkie, wszystkie grają,
ale fałszywie.
— Tobie — mówi — gra, mnie piszczy.
Bardzo się dziwię.

Przynieś inną rzecz mi, żeby
lśniła przezrocznie
I żeby mi sama grała —
przynieś niezwłocznie.
Co on pocznie — myśli rybak:
co on tu pocznie?

Siadł na łódkę znów i przywiózł
dla swej Syreny
Muszli, muszel i muszelek
niezmiernej ceny,

Migocących stu barwami
tęcz, jak barweny.

— Każdziuteńka coś ci szumi
szumem czeluści,
I jest mocna: nie umiera
choć się ją puści,
I od kwiatów kolorowsza.
Dość chyba już ci?

Przykładała konchy muszel
do konchy uszka:
— Szumieć, szumi, jakby w środku
siedziała muszka.
I nic więcej? — Któż rybaczek
zbadał serduszka?

— Nie chcę twoich — rzekła — muszel,
choć tak mieniające,
Ani twoich chcę piszczałek,
choć śpiewające.
— Więc cóż dać ci mam, kochana?
— Samo daj słońce!

Jeśli żądasz już koniecznie,
bym się kochali,
Daj mi słońce, które samo
stem tęcz się pali.
Daj mi, zamiast muszli szumu,
szum samej fal!

Jęknął rybak i zawołał
w wielkiej rozpaczyl
— Żal się, Boże, mojej doli,
doli rybaczej!

Ach, rybaczek nieraz dusza
dziwnie dziwaczył

Sam się rybak, sam pozostał.
Gryzł się i smucił.
Zebrał wszystkie swe muszelki,
w morze je wrzucił,
Siadł, pojechał w dal ku słońcu.
I już nie wrócił.

Oto bajka jest o sercu
tak kochającym,
O rybaczce, która chciała
samem żyć słońcem.
Koniec sobie już dośpiewaj,
sam, koniec końcem.



PODRÓŻ.



MELODYA DZWONÓW.

Trąć rymów akord. Grają. O czym? O czembądz.
Zali powiesz, co płacze w dzwonów grze? w wód fali?...
Pchnąć w dzwon serce, w dźwięk duszę, najprościej naj-
[śmiałej —
Dzwonią-ć, drżą-ć, jak kochanków głosy o czembądz.

Dzwon rozbujali. Jęknął. Drży splot krokiew, bali...
Dzwony zwa-ć do płakania gdziebądz, gdziebądz...
W dali gór białogłowych na turnie się piąć,
Gdzie białej coraz, czyściej, i ciszej, i dalej...

O, bądź mi pozdrowiona, ciszo farnej stalli
Biali mi w dzwon dzwonnicy niechby z wyżyn grali
Spłyń, zalej mnie, melodyo, szumem turni! Zbłądź,

O, zbłądź do mnie, ty falo! Graj mi pieśń łez, żali...
Hej! — zdjąć brzemię tłoczące w dół, i wzwyż lot wszcząć,
W rozpieśnionej oddali, wśród hał, mór — gdziebądz!



Z GENUI.

Z Genui rankiem pociąg cwałuje po torze.
Do wagonu raz po raz wiatr zapachy wwiewa,
Z dziwnych pól, jakich u nas żadna wieś nie miewa:
To pachną łąny cytryn i pomarańcz zboże.

A ta srebrnych ruń zieleń — to oliwne drzewa;
A rozłóg wód o *lapis-lazuli* kolorze,
Co widnokrąg zatopił bez brzegu — to morze.
A strzęp biały — to żagiel, a ptak biały — mewa.

O jakiż gdzie cudniejszy jest sen, anizeli
Ten zjaw przestrzeni czystej, jak wizya dziecięca —
Wizya żagli bielutkich, i pian, i mew bieli?

Oto zabłysła nagle, oczy rozgoręca...

I już tłumi ją okrzyk: — „*Pronti!*“ i — „*Partenza!*“
I już gaśnie jej lazur w pomroce tuneli.



MUR.

Turyście, łaknącemu, w skwar, ogrodów woni,
Ustroni altan, zdrojów ciekących perliście, —
Symfonii boskiej szmer rzucają palm okiście,
I wniście kaktus mu wskazuje kolcem dłoni.

Śpią — czy stłumiła śmierć tu głosy, gdzie w beczynie
Pinie drzemią... na mur legł zwój omdlałych pnący?..
Jedynie żywy źródło tu nie przez szczyby sączy
I, rączy, topić ją, za mur, do morza płynie.

Zaciszy jest tu chłódność, upleciona z cieni;
Jest w niszy zielonawy satyr, skryty w bluszcze,
Cyprysy, jak mnichowie stoją zamyśleni,
I pluszcze źródło w cysternie, ciekący przez rysy.

Za murem morze wbiega raz po raz w skał nyże,
Lazurem wód uderzy i ścieka po żwirze.



GALATEA.

Oto głaz marmurowy, i myśl — wizya mistrza,
Wizya coraz widniejsza mu, coraz ognistsza.
Już świadoma... Już bucha za próg uświadomień...
Już pełga nad marmurem... Chwyta go, jak płomień...

Ciął twórca w kamień. Rytm cięć się rozbystrza,
I jawi się pod dłutem biel coraz cielistsza:
Tors... łuk ramion... źrenice... Z oka strzelił promień;
Z warg szept, zda się, kochany słyszać—echo wspomnień...

Słucha mistrz... Szepczą usta jakowąś pieśczętę; —
Ramiona chcą go objąć marmurowym splotem...
Czeka... Wtem, w skurczu męki i w żądz zawierusze,
Podjął młot i statwę swą rozwala młotem.

— Otom cię stworzył z bólu, i z bólu cię kruszę,
O miłości!... Z marmuru powróć znów mi w duszę.



MARIA - MARI.

I tu nawet, pod nieba Italii namiotem,
Gdzie we wnęce zatoki płonie cud — *Napoli*;
Gdzie wyścięła lazurem toń u *Capri* grootę;
Gdzie oliw pachną wonie, agaw i magnolij;

Tu gdzie morze dziecinnie po żwirach swawoli
I okala głąz brzeżny miłosnym opłotem;
Tu gdzie kwiaty się zrywa w ruinach akropoli: —
Wszędzie'm widział, jakoby rzeczy cień — tęsknotę.

I słyszałem ją w pieśni „o *Maria-Mari!*”
I w *arpeggio* mandolin wtórujących arii
Podokiennych serenad, kiedy wieczór mija,

Kiedy noc czerni falę, gdy spotężniał gwar jej...
Dziś słyszę cię tęsknoto, słyszę! Nie przemija
Echo wtóru mandolin, „o *Mari-Maria!*”



PIĘKNA RZECZ.

Che bella cosa è da morire acciso
Nnanze a la porta de la nnamorata,
L'anema se ne saglie mparadiso,
L lo corpo lo chciagne la scasata.
*Ludowy śpiew z Neapolu. *)*

Śnią rozwaliny Bajów rzymską epopeję.
Zmów odpoczynek wieczny za cezara-boga!
Grób, *Ischia* śni. Tam *Capri* sen liliowieje.
Płacz mandoliny... Śpiew — o kochaniu ekloga.

Śpiew o tem, jak piękna rzecz u kochanki proga
Zabitym być. Dusza uleci w *Empireje*,
Ciało kochana łzami obleje nieboga.
Piękny śpiew. Piękna rzecz — miłosne krwawe dzieje.

*) O jakaż piękna rzecz u kochanki być proga zabitym! Dusza uleci w *Empireje*, ciało kochana łzami obleje nieboga.

Zapach wód. Śni o cesarach Bajów odnoga.
Mandoliny stał podzwania i boleje.
Znój. Laurów cień. *Aqua-Marin*'owych fal pożoga.

O jakąż piękna rzecz u kochanej być proga
Zabitym! Dusza wzwyż uleci w Empireje,
Ciało kochana łzami obleje nieboga.



CHCĘ, BY MI
TWOJE OCZY.

Chcę, by mi twoje oczy jedyne, jarzące
Zabłyły w życia nocy samotnej, tułacznej;
By mi żywiej płonęły, niż innym, inaczej;
Żeby przy mnie jaśniały, a gasły w rozłące.

Chcę być twoją radością i łzami twych płaczy.
Niech mię twoje wołają sny niepokojące,
I rozłęskniona twoja myśl niech mię oplącze,
Jak dziewannę powoje przy chacie wieśniaczek.

Chcę by mię twoich włosów osypały zwoje,
Rozplątane i wonne, i były mym licom
Szatrem liści zwieszonych nad szemrzącym zdrojem

W dzień upalny, — i nieme kochania tęsknicą,
Niech ramiona mię twoje łamliwe ochwycą,
W dzień upalny, gdy kwitną dziewanny, powoje...



STRĄCONY OKWIAT.

Strącony okwiat grusz na staw nafrunął bielą,
Na skrzek i duży liść okrągły padł grązełom;
Kaczeniec żółty śpi na chabrze wód, i gra mi
Błękitnych szklarek rój — rój skier nad ajerami.

Odbijam senną łódź i płynę ku topielom,
Gdzie w płasach gony ryb przezroczy nurt popielą,
Gdzie tonie runo chmur i czystość wody plami,
Gdzie szczupak lustro wód przecina płetw ostrzami.

Niekiedy wiosło z dna wywlecze kwiat kaczeńczy,
Niekiedy łodzi burt o suchy trze oczeret —
Siedzibę chmary much. Kapela muszych czered

Dogania senną łódź, i długo za mną dźwięczy
Smętnawy cichy brzęk — jęczenie brzmi komarze;
Oddaję fali ster i wiosło z rąk — i marzę...



PRZYJDZIE WIOSNA.

Przyjdzie pełną drożyną, w biel odziana liliową,
Przyjdzie, kiedy się wdziesię brzask jutrzenny dąbrowom;
Wróci chabry i maki, by strój łąnom barwiły,
Wróci białość czeremchom u wezgłowia mogiły.

Mirt umai grobowce ukochania na nowo,
Z łąki dmuchnie wiatr kwiecie rozżarzone opyły,
Wokół cierni powoje znowu będą się wiły,
Zajrzy osa brzęcząca w konchę malwy różową.

Burz majowych strumienie ubalsamią drzew korę,
I krzewinę okoli nimb tęczowych promieni;
Z latorośli wierzbowej pasterz fletnię uleni,

Zagra... Echo odpowie tam za borem, za borem...
Hej, przyleci dziewczyna, narwie, narwie złocieni
I ożeni złocisty wian z pasterza kędziorem.



NOC MAJOWA.

W noc, bezsenny, spoglądałem oknem odchyłonym.
Wiatr szamocze i targa nim w zawias żelazie,
Wrzuca w czeluść okienną topolowe baze, —
Kwiatem z wiśni strząśniętym, jako wonnym szronem,

Wnętrze izby uściela... Mignie raz po razie
Błyskawica, i z trzaskiem piorun drze oponę
Mroków... Krzyknie w ekstazie noc i błysnie łonem.
Zaczem, jakoby rzewny płacz, jak płacz w ekstazie,

Płyną szumne rześistej ulewy strumienie
Na kędziory zgęstwione klombów, na kamienie
Stopni ganku, w wazonach pluszczą, i sylenie

Myją torsy gipsowe, zdobiące altanę,
Z nocy tła się wydzierające, żywe tanem —
Przy wiosennej, burzliwej nocy kantylenie.



POMPEII.

Domów zmarłych szkielety w szkielecie ulicy.
Strzęp anonsu: LOCANTUR... Nająć można willę.
HIC FELICITAS — szyld. Tu Fryny i Chryzelle
Pieściły Anków, Marków... — ot szkielet łożnicy.

Krwią, różami i winem dyszą perystyle.
W atrium kość stuka warcab o stół z macicy.
W triclinium uczta. Cytar dźwięk. Płas taneczniczy.
Fryne tańczy. Chryzylla pomknie w tan za chwilę...

Bóg miasta umarłego, zżarty przez law ałun,
Zaklęty w bronz i w marmur, w fresk i, w polichromy;
Z żużliów dobyte bożek Pompei-Sodomy,

Grzech tańca, krwi, róż, wina odchylił nam całun,
Dziś oczom rozróżnionym zjawił się, widomy:
Bóg tańca, krwi, róż, wina... Bóg Pompeii — Faun.



WENECYA.

Miasto udrapowane w złotej krasy szczątek.
Lazzaronka, co w słońcu legła na wybrzeże.
Pożółkła, jak odwieczne mszały i psalterze,
W których ozdabia szafir i róż psalmu wątek.

Ulice jej, kościoły, pałace i wieże —
To umarłych, wyblakłych śpichlerze pamiątek.
Zastygł już dziś ów ongi law kipiący wrzątek
I płomienna ofiara, dziś — dym po ofierze.

Iskrzy się dziś strzęp złota w bizantyńskiej pleśni.
I echo gra weselne z gondoliera pieśni.

W jej melodyach kochanek marzy z ukochaną.
Jak sen, ku Lido barka płynie *piano, piano...*

Dalekich wspomnień szumem pluszcze fala cicha.
I tęsknotą za złotym tym snem pierś oddycha.



OBCE MIASTO.

Z bazaltu ma podłoże-spód,
Na bulwar brano granit, cios.
Na słońcu wzrósł, przy szmerze wód,
Gdy pachnie winem i mimozą.
O szczęśny gród!
Przy grze mandolin rósł *Giocoso*,
Miał słońca w bród,
I gór, i morza... szczęśny los!

Na promenadzie lud.
I gwar, i śmiech, i śpiew *Giocoso*,
Szeleści chód miłosnych par.
Słów dzwoni głos,
W ogrodzie, w skwar,
Gdzie laur z mirtem w klomb się zrosł,
Z cyprysem bluszcz się zwał,
I pachnie winem i mimozą.

O szczęśny, złoty gród!
Pluszcze coś morze weń *Giocoso*,

W bulwaru spód,
I wiatr przywiewa z fal mu ozon,
I z winnic pachnie winną łożą,
I z gór oliwny owoc wiozą,
I cyprysowych ambr ma w bród...
O szczęśny złoty gród!

O szczęśny, złoty los!
Gdy w wieczór cichy, z morza chłód.
I zapach wionie słonych ros;
Gdy na brzeg wyległ tłumny lud,
Gdy pachnie winem śpiew *Giocoso*,
Gdy mandolina płacze w głos,
I liśćmi szepcze mirt z mimozą:
O szczęśny, złoty los!



NOKTURN.

I.

UCZTA.

Oto wino się perli ponad wrębem w czarze,
Jako łza u rzęs oczu bolejących drżąca;
Oto jęczą kielichy jękiem kamertonów,
 Jak łona dzwonów,
 Gdy w nie serce trąca.
Płyn winny rozkryształła twarze,
I brzmi kaskada śmiechu weselem tętniąca,
Jak dzwonu koncha, gdy w nią serce trąca.
 Toastów tysiąca
 Grzmią słowa,
 Jako spiżowa
Dzwonu koncha, gdy w nią serce trąca...
Cichnie wrzawa. Pieśń jakowaś dźwięczy
 Tęskna, minorowa;
Tembr melodji faluje, jak Lais tańcząca
 W tunice pajęczej,

I strumieniem łez płynie tęsknota dławiąca,
I tonie ból w kryształnych kielichów klangorze.

.

Świt. Palą się zorze.
Jutrzenka różane palce na szyby okienne
Kładzie i patrzy płomienną źrenicą;
Przygląda się litośnie bólem zzartym licom
I szkarłatnym całunem otula gehennę.

II.

CMENTARZ.

Na mogilny głaz nagrobny
Legły cienie krzyża ramion,
O mogilny głaz się łamią.
Cienie dwóch krzyżowych ramion
Obejmują głaz nagrobny
W splot, podobny
Do kochanki splotu ramion.
Jak źrenice
Senne kwefi rzęs turmalin,
Tak cmentarną tajemnicę
Wrytych w głazy życia znamion
Ocieniają szatry kalin
I iwiny, i sokory, pokutnice,
W mgłę płaczące...
... Mgły wonne
Mroczą
Mogił garby, drogie od łez ślepym oczom,
Zapomnienia symbole pozgonne —
Cios, marmur — mgły wonne mroczą.

Cisza... jak w tłumie, kiedy wyszli wierni
I w ciszy nocy, bezdennej żałobą,
Słyszysz, coś szepce poszmer liści grobom.

Po drzew czerni

Błądzą nimby srebrzyste, wśród cieni...

Łkań mar akordy zebrzące...

Słyszysz? — zmiłowania.

Z mogilnych kamieni

Dzwonią łkania,

W mroku liljowym wibrujące:

Łkań mar akordy zebrzące

Zmiłowania, —

Tęskne żale po rozłace

Z kwiatów wonią, —

Jako nowenna dzwonią

Tęskniące.

Nie wam, nie wam kwiatów wonie,

Nie wam usta gorące,

O wy, zmarli z kochania,

Kochankowie tęskniący, nieukojeni,

Po zgonie

Płaczący, w kiry nocy wtuleni!...



JESIEŃ.

Wczoraj jeszcze w ogrodzie
Pachniał bez wiosenny:
A dzisiaj już przeminął
Maj, jak miraż senny.

Wczoraj jeszcze dojrzewał
Owocu zawiązek:
Dziś już powiędłe liście
Spadają z gałązek.

Wczoraj blask przez róż karmin
Lśnił, jak przez witraże:
Dziś bezlistne kwietniki —
Zmarłych róż cmentarze.

Wczoraj jaśniała rozkosz,
Jak upalny promień:
Dziś już słońce jej zaszło
W kraj snów i zapomnień.



Jedno się w mej pamięci
Przypomnienie błąka.
Raz, przedwcześnie rozwinął
Kwiat — pąk róży białej.

Za nim listki jej, same,
Na słońcu dojrzały,
Tchnieniem je ust przedwcześnie
Rozwinąłem z pąka.

Ach, ostatnia to róża
Była tej jesieni!
Uformowała pąk swój
I miała nadzieję,
Że ją słońce ostatnią
Pieszczotą ogrzeje,
Że ją tchnieniem rozwinie
Ostatnich promieni.

Ale jesienny schodził
Za dniem dzień pochmurny;
Co noc jej beznadziejne
Wicher wiał nokturny;
Słoneczność była coraz
Mniej i mniej gorętsza:
Biedny kwiat — kwiat ostatni —
Nie rozwijał wnętrza.

Pod zwartych i skupionych
Listeczków osłonką,
Łudził się, że weń żywot
Jesienne tchnie słonko,
Że się jeszcze zakwieci,
Że w pełni ożywie,

Że zaigra w nim światłość,
Jak w witrażu szkliwie...

Lecz jesienny dzień za dniem
Bezstonecznie mijał.
Biedny kwiat, nie pieszczony,
Wnętrza nie rozwijał.
Słońce późno wschodziło,
Nikło mu za wcześnie:
Czuł, że z listków całunu,
Pachnący, nie wskrześnie.

Uzaliłem się nad tym
Białej róży pąkiem,
I tchnąc węń, rozłączyłem
Białych listków złąkę.
Wskreszony kwiat wyrwałem
Z opłotu gałązek.
Pachniał, jak pół-wyznanej
Miłości zawiązek.



Pamięta Pani kwiat ten?
Ja — pomnę jak we śnie:
Do Twojego przypięty
Został gorsu środka,
I choć u piersi Twojej
Śmierć mu była słodka,
Umarł, żyjąc — za późno
I ginąc — za wcześnie.



Rozkosz — jest to rozkwitły
Pierwszy kwiat wiosenny;
Rozkosz — jest to wcielony
W życie — miraż senny.
Wczoraj jaśniała blaskiem,
Jak złocisty promień:
Dziś zachodzi jej słońce
W krainę zapomnień.

Ach, ostatnia to róża
Była tej jesieni.
Uformowała pąk swój
I żyła nadzieją,
Że pieszczoty ją żarów
Ostatnich ugrzeją,
Że prześwietli ją słońce
Igraniem promieni.

Wczoraj przez róże lśniło
Wskroś, jak przez witraże.

Dziś bezkwietne, powiędłe
Klomby — róż cmentarze.

Wczoraj świeciła rozkosz,
Jak upalny promień.

Dziś wstąpiła w krainę,
Marzeń — i zapomnień.



BEZ RÓŻ.

Bez róż
Nie czarują tak maja dnie,
I niebo tak nie nęci grą
Wiosennych zórz,
I bez róż warkoczom czarnym źle,
I ogrody takie smutne są
Bez róż.

Wionął w dal,
Znikł cudowny mój sen.
Czy upłynął rzeką, w świetle zórz,
Z biegiem fal —
Znikł, cudowny mi, hen?...
Czy mi, jako zapach — zapach róż
Wionął w dal?...

Bez słów,
Niewymownie mój żaloszny tren.

Upłynęły w dal zorzane dnie
Majowych snów,
Jak zapachy róż, wionęły hen...
O rozkoszy, o cudowny śnie,
Bez słów!



TUM.

W pięć naw, sto kolumn z marmurowej bieli,
Jednakich słupem, różnych z kapiteli,
Które snycerski mistrz, w lato za latem,
Zdobiał akantu liściem, albo kwiatem.

Z marmuru biała kolumna, jak dziewa:
Mszy szept jej szepcze coś, coś organ śpiewa;
Bursztyn jej, myrrha pachnie z kadzielnicy,
A ona — marmur zimny, białolicy.

I choć się wzruszać zda organów hymnem,
Stoi w skupieniu marmurowo zimnem;
I choć się gromnic światłością różowi:
Niezlomna, wiernie oddana tumowi.

Tum sto kolumnien-dziew poobejmował,
Od stóp-cokołów do sklepionych pował,
I w rozmodleniu trwając przenajświętszem,
Ma je — dziew wiernych sto — naw pięciu wnętrzem.

Gdy słońce witraż promieniem przestrzeli,
Tęcza wykwiła na kolumnie bieli.
Złocą się białe kapitele-skronie.
Kolumn orszak stu — sto dziewic płonie.

Jak zapach — fale organowych treli,
Płyną wokoło ich świetlanej bieli.
Jak myrrha, ku nim bije cześć pokłonów,
Jak tryumf, dzwięczy z wieżyc hejnał dzwonów.





Z PETRARKI.

Cóż we mnie, jeśli nie miłość płonie?
Lecz jeśli miłość: czem jest, na Boga?
Jeśli czemś dobrem: zkąd we mnie twoga?
Złem? Czemuż słodki ból w mojem łonie?

Gdy to z mej woli: przecz łamię dłonie?
Z cudzej?... Zamknięta powrotna droga.
O żywy zgoniel! O męko błogal
Wbrew chęciom, przecz się ku tobie kłonię?

Lecz ten gwałt mojej zadany woli,
Chociaż na niego zezwalam, boli.
Jestem, jak łódka na oceanie
Bez steru, której grozi zbłąkanie,
Która kierunku już nie pamięta,
I w przepaść — w przepaść może być pchnięta.

RYTM ŻYCIA.

Przedmowa do wydania

1. Rytm życia

2. Rytm życia

3. Rytm życia

4. Rytm życia

5. Rytm życia

6. Rytm życia

7. Rytm życia

8. Rytm życia

9. Rytm życia



RYTM ŻYCIA.

I.

Choć o sobie samym
Ja sam trzymam skromnie,
Lecz przykro mi, gdy bliźni
Lekcie myśli o mnie.

Jak pogodzić JA z NIE-JA?
Trudna rzecz ogromnie.
Darujcie mi, że problem
Ten wam uprzytomnię.

Jeśli bliźnim wesoło —
Myśmy zasmuceni;
A jeżeli *nam* smutno —
W nich się radość pieni.

Gdy *my* wołamy światła —
Oni pragną cieni.
Jak żyć? Kto zna to słowo,
Niech mi je wymieni.

Jeśli sprzyja los *jemu* —
Dola *mnie* urzekła;
Jeślim *ja* był kochany —
Jego zawiść piekła:

Jeśli *on* jest jagniątko —
Jam jest bestya wściekła.
Jak rozwiązać ten problem
Wzajemnego piekła?

Bo choć o sobie samym
Ja sam trzymam skromnie,
Lecz gdy bliźni to czynią —
We mnie gniew się pieni.

Jak żyć, byśmy nie byli
Zawsze poważnieni?
Jak żyć, ażeby moje
Z twojem się godziło?

Jak żyć, by przykazanie
W życiu się ziściło:
Nie czyń drugiemu tego,
Co tobie nie miło?

Przed wami rzecz tę stawiam
Trudną i zawiłą.

II.

Każdy swego bliźniego
Klął, lub klnie go ninie,
Każdy był zakochany
W jednej z nim dziewczynie;

Każdy pragnął być przez nią
Kochanym *jedynie*:
Któż się od złorzeczenia
Bliźniemu wywinie?

Dzisiaj *mnie* powiedziała
Dziewczyna, że kocha,
Dziś *on* szaleje z gniewu
I z boleści szlocha.

Jutro jemu wypadnie
Rola jej pieszczocha:
Jutro będę *ja* cierpiał,
A może klął trocha?

Pojutrze na rzecz *moją*
Serce jej się zmieni:
Pojutrze więc *on* może
Z gniewu się zapieni?

Albo może znów *jego*
Pokocha jedynie:
I może *moja* we łzach
Dusza się rozpłynie?

Wtedy mi *ona* może
Znowu szepnie zcicha:
Że tylko do mnie, do mnie,
Nie do niego wzdycha?

Ale wtedy *nim* może
Furya zakołycha,
I będzie chciał usunąć
Mnie z ziemskiego globu.

Jak żyć? Jeśli ja raj mam:
On mi życzy grobu;
Ja zaś jemu, gdy *on* jest
U fortuny złobu.

Powiedzcie mi kochani:
Jako żyć nam obu?

III.

Chociaż o sobie samym
Ja sam trzymam skromnie,
Lecz przykro mi, gdy bliźni
Lekce myśli o mnie.

Dziś *jemu* powiedziała
Dziewczyna, że kocha:
Dziś *we mnie* udręczona
Dusza moja szłocha.

I chociaż sobie w płaczu
Ten raj uprzytomnię:
Że ona jutro spojrzy
Na mnie słodziej trocha,

Ale *dziś*, udręczony,
Przeklinam ogromnie:
Dzisiaj ona wybrała
Jego na pieśczochal

Chociaż jutro jej serce
Ku mnie się odmieni,
Ale dziś... Ach, szczęśliwsi,
Którzy *dziś* lubieni.

Chociaż jutro mi swoje
„Kocham“ szepnie cicha,
Ale dziś... Ach, tem jednym
Moja pierś oddycha.

Bodajby jutro zawiść
Mnie najsrożej piekła,
Byleby jeno dzisiaj
„Kocham“ *do mnie* rzekła.

Byle jeno kochała
Dziś mnie najszaleniiej:
Nie dbam, chociażby wczoraj
Życzyła mi grobu.

Nad *dziś*, niema słodszeo
Istnienia sposobul
Tak... Lecz jeśli to hasło
Jest hasłem nas obu?

Jak żyć? Kto zna odpowiedź,
Niech mi ją wymieni!

IV.

Oto mój bliźni — bestya
Pocziwa ogromnie —
Ukochaną niewiastę
Miał u swego żłobu

Na uwięzi... Przysięgła
Wierność aż do grobu,
Ale zerwała więzy
I przybiegła — do mnie.

Swoje *dziś* wziąłem słodko,
Choć może nie skromnie,
I zostałem człowiekiem
Najszczęśliwszym z globu.

Carpe diem! Żyj dzisiaj!
Tu wam uprzytomnię,
Że to hasło klasyczne
Jest hasłem nas obu.

.

Miałem dziewczkę. Bliźniemu
Memu „kocham“ rzekła,
Chociaż *myśmy* do grobu
Byli zaślubieni.

Posiadł ją. Swe rozkoszne
Wziął *dziś* — bestya wściekła,
Chociaż dozgonną miłość
Wczoraj... *mnie* przyrzekał

.

Carpe diem! Dziś chwytaj
Rozkosz najszałeniej,
Chociażbyś jutro poszedł
Na samo dno piekła.

Jeżeli mi kochanka
Dzisiaj „kocham“ rzekła,
Czem jest wczorajsza boleść,
Niech mi kto wymieni?

Tak... Lecz jeśli my obaj
Z jednakową siłą

Pragniemy, by to *dziś* nam
Obu się ziściło?

Jak żyć? Kto z was rozwiązał
Tę sprawę zawiłą?

V.

Jak żyć? Jeśli żyć trybem
Ascety i mnicha,
Po bożemu, jak święci
Pańscy wyzwoleni:

To któż, u Boga, dziewczyn
Cudowność oceni?
Jak żyć, jeżeli miłość
Sercem zakołysa?

Czy mamy ją odepchnąć,
Gdyśmy polubieni?
Czy mamy kląć, jeżeli
„Kocham“ szepnie cicha?

Czy mamy błogosławić,
Jeśli nas odpycha?
Jak żyć, kto zna odpowiedź,
Niech mi ją wymieni.

Czy żyć lękiem, że kochać
Jest może nieskromnie?
Czy należy się nękać
Tem, że bliźni szłocha?

Czy samej cnoty pragnąć?
Czy i grzechów trocha?

O jakże udręczony
Duch mój jest ogromnie!

Źle, jeżeli dziewczyna
Cudza mnie pokocha;
Źle, jeżeli odpycham
Garnącą się do mnie;

Źle, gdy mękę bliźniego
Sobie uprzytomnię...
O jakże udręczona
Duszą moja szłocha!

Jak żyć? Jeśli jam w raju —
On mi życzy grobu;
Jeżeli on w Edenie —
Ja go zmieść chcę z globu?

Powiedzcie mi, kochani:
Jako żyć nam obu?

VI.

Jeżeli bliźnia żona
Grzesznie i nieskromnie
Urwała się z uwięzi
I przybiegła do mnie:

Czy mam ją z oburzeniem
Ascety i mnicha
Odepchnąć, jeśli miłość
Sercem zakołysa?

Czy jeżeli się bliźni
Na mnie z gniewu pieni:

Czy ja go pójść przebłagać
Mam najuniżeniej?

Czy też on swój powinien
Zciszyć gniew przytomnie,
Chociaż jego dziewczyna
Dziś przybiegła *do mnie?*

Jak żyć? Czy mam bliźniego
Wtrącić *ja* do grobu?
Czy też *on* mnie powinien
Z ziemskiego zmieść globu?

Jak żyć, aby się *moje*
Z *twojem* nie kłóciło?
Jak nie czynić bliźniemu
Żle, gdy nam to miło?

Czy żyć *dziś*, choćby wczoraj
Serce boleść piekła?
Czy żyć *dziś*, choćby jutro
Pójść w głębinę piekła?

Czy samych grzechów pragnąć?
Czy i cnoty trocha?
O, jakże udręczony
Duch mój jest ogromnie?

Żle z Bogiem żyć, jak święci
Pańscy wyzwoleni,
I źle z szatanem grzechu
Istnieć najszałeniej.

Jak żyć? Kto zna to słowo,
Niech mi je wymieni.

VII.

Ażali to jest cnotą,
Czy też zbrodnią piekła,
Gdy odpycham dziewczynę,
Która „kocham“ rzekła?

I czy to jest występkiem,
Że przybiegła do mnie,
Żem ją objął serdecznie,
Choć może nieskromnie?

Czy może to jest cnotą,
Jeśli najszaleniiej
Kochamy się, choć wolni,
Choć nie - poślubieni?

Czy jeżeli bliźniego,
A nie mnie pokocha,
Czy jest cnotą, czy grzechem
Doli kląć pieśczocho?

Jeśli z tobą dziewczynę
Życie raz złączyło:
Czy ma być ono wam już
Na zawsze mogiłą?

.

Od cnoty — do występu,
Od światła — do cieni,
Wkrąg się fala życiowa
Nieustannie mieni.

Cnota i grzech, szczyt — przepaść:
Dwa bieguny globu;

Rozkosz i ból — dwa krańce.
Jak nam żyć bez obu?

Dziś jeżeli rozkosznie
Pierś twoja oddycha,
To jutro z tej wyżyny
Grzech cię w przepaść spycha.

Czy więc po kres od kresu
Jesteśmy kłębieni,
Jak fala oceanu,
Gdy się rozkołysza?

Jak żyć? Kto zna to słowo,
Niech mi je wymieni.



ASCEZA.

Wstrzemięźliwiec wstrzymywał
Swego życia koło,
I spoglądał jak żyją
Ci, co *żyją* wkoło.

Widzi: dla Rocha pieniądz
To szczęścia kapitel;
Józef zdarłby z bliźniego...
Ba — ostatni kitel;

Ideąłem Franciszka
Pieprznie jeść i tłuscie;
Wojciech gra; pije Dydak;
Ugrzązł Prot w rozpuście.

Widząc to, rzekł asceta:
— Boże! cóż za płazy
Grzeszne, sprośne, zbereźne!
Tylko jam bez zmayı.

A możeby tak pożyć?
Niechaj nie przepadnie
Dla potomnych wzór cnoty,
Jak nam żyć przykładnie.

Dictum factum. Jął żyć, lecz
Na progu żywota
Spłł się, zgrał i rozpuścił
Nie gorzej od Prota.

W tej bajeczce się mieści
Moralna nauka:
Że jest łatwa krytyka,
Ale trudna sztuka.



WOLNOŚĆ.

Koń, co od żrebca w pługu
Chodził, tudzież w bronie,
Postyszał raz, że w stepach
Żyją wolne konie.
Przyszedł więc do dziedzica
I rzekł: — „Mój dziedzicu,
Sprzykrzyło mi się chodzić
W chomącie i w licu.
Daj mi wolność! Gdy nie dasz,
Zdobędę ją strajkiem!”

Dziedzic, słysząc to, w pasyi
Porwał za nahajkę
I zawołał: — „Co, praca
Przykrzy ci się, leniu!
Nic z wolności, póki mam
Siłę w tym rzemieniu.
Twoja wolność jest dla mnie
Ruina, aniele.

Zresztą, wolność od robót
W każdą masz niedzielę.
W niedzielę, zgodnie z dobrem
Mem i z boskiem prawem,
Od pług wolny, możesz
Do woli jeść trawę“.

Tu spętał go i pewny,
Że nie umknie nikaj,
Rzekł: — „Mój koniu, chcesz teraz,
To strajkuj i brykaj!“



WOJNA I POKÓJ.

I.

Pił z *gorączki*, przed wojną;
Pił z *febry* na wojnie;
A gdy pokój zawarto,
Dziś — pije *spokojnie*.

Jeśli chcesz komentarza
Pod tej bajki tekstem,
Wiedz, że wojna i pokój
Jest picia pretekstem.

II.

W czasie wojny korzennik
Miał cennik podwójny;
Po wojnie go potroił,
Z powodu klęsk wojny.

Cywilu, z tej bajeczki
Prawdę w ramy okuj:

Korzennika bogacą
I wojna i pokój.

III.

Jeśliś jest lokatorem
I najmujesz pokój,
To sobie taką bajkę
W pamięci ulokuj,

Podniósł czynsz kamienicznik,
Ponieważ się bito,
A gdy bić się przestali,
Jeszcze zwiększył myto.

Gdy chcesz mieć spokój w wojnie,
Płać za pokój hojnie;
A gdy nastanie spokój,
Płać drogo za pokój.

IV.

Ponieważ cnota z wojną
Związek ma daleki,
Weź sobie tę bajeczkę
Do pamiętek teki.

Żyć w spokoju wojownik
Dał ślub, co się zowie,
Gdy chorzał. Wyzdrowiawszy,
Ani mu to w głowie.

V.

Dopóty pewnej Donnie
Donżuan psuł spokój,

Aż się razem z nią zawarł
W meblowany pokój.

Ta bajka niech przekona
Cię najoczywiściej,
Jakie są niesłychane
Z pokoju korzyści.

VI.

Wesele obiecywał
Panience kochanek;
Dziś wesół jest, lecz sam, bo
Panna płacze wianek.



WYSOKO I NIZKO.

Dwaj ludzie patrzą w siebie.
Jeden na wierzchołku
Stoi góry wysokiej;
Drugi stoi w dołku.

— Jakiż on jest maleńki —
Rzekł ten pierwszy z wyżek. —
— Ach, jaki z niego pigmej —
Drugi z dołu wyrzekł, —

Wspnę się — myśli — w górę
Do tego karzełka.
Zejdę — pomyślał tamten: —
Bawi mię ta pchełka.

Zaczęli iść ku sobie.
Tamten ku dołowi,
Ten w górę. Gdy się zeszli,
Patrzą: — jednakowi.



DWIE DROGI.

Ludzie cnotliwi, którzy
Ku grzechom ochłodli,
Powiadają, że wszyscy
Grzesznicy są — podli.

I na odwrót: ci, których
Ku złemu uczynek
Zwrócony jest, nie szczędzą
Dobrym ludziom drwinek.

Gdy przyjąć stronę dobrych,
To źli nami gardzą,
I odwrotnie. Więc jak żyć?
Chciałbym wiedzieć bardzo.

I gardzić nieprzyjemnie,
I gdyśmy gardzeni,
Również nas to boleścią
Przejmuje do rdzeni.

Co lepsze: czy żyć w grzechu?
Czy żyć życiem świętem?
Czy lepiej jest używać?
Czy być abstynentem?

Czy lepiej się nie zrzekać
Tytoniu, ni wódek,
Ni mięsa, ani żadnych
Życiowych wygodek?

Powiadają, że gdy kto
Nie jest żądz swych sługą,
Ten żyje nadzwyczajnie,
Nadzwyczajnie długo.

Czy więc żyć życiem zwykłym?
Czy też żyć do stu lat?
Rozpatrzmy, który lepszy
Życiowy postulat.

Jeden pali i zdrowia
To mu nie zakłóca:
Inny palił i umarł,
Bo... słabe miał płuca.

Zdaje się, iż tu prawdę
Jużeśmy złapali:
Chorym palić — broń Boże!
Kto zdrow — niechaj pali.

Powiadają, że ktoś tam
Umarł w lat małości
Dlatego, iż nadużył
Nektaru miłości.

I mówią, że ktoś inny
Lata miał nie krótkie,
Bo potrafił odrzucić
Precz miłosną trutkę.

Zmarli obaj — (duch życia
Jak ten dym ulata) —
Lecz pierwszy swoje *przeżył*,
Drugi *przemał* lata.

Podobno w piekło jeden,
Drugi wszedł w podwoje
Niebieskie... Wzór obieraj
Z ludzi tych: masz dwoje.

Powiadają, że ktoś tam
Umarł, jako starzec,
Dlatego, iż potrafił
Od wódki się zarzec.

Ha, kto chce staro umrzeć,
Niech się o to stara;
Innemu miłsza młoda
Śmierć, niżeli stara.

Inny woli umierać
Gdy w nim tętnią szale;
A inny, jako starzec
Woli mrzeć zwietrzały.

Inny, chociaż mu skrócą
Żywot alkohole,
Niżli zgrzybiałą starczo,
Woli śmierć — pacholę.

Młodym go pocałunkiem
Śmierć-Kochanka muśnie,
I młodzieńczo-pijany
Sam, na wieki uśnie.

Będzie matka płakała,
Lub kochanka jaka
Po nim... Ach, taka będzie
Młoda śmierć pijaka.

A ten, który swe zdrowie
Od upojeń chroni,
Umrze, starzec, i nad nim
Nikt łzy nie uрони.

Mądry był — tylko rzekną:
Żadne go nargile
Nie upajało. Niechaj
W zimnej śpi mogile.

Nie pił, żył pozytywny,
Jak żyją karczmarze.
I zmarł staro. I świat go
Z pamięci wymaże.

Oto dwie życia drogi:
Trzeźwa i szaleńcza;
I śmierci dwa rodzaje:
Starcza, lub młodzieńcza.



ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO.

Wy, których życia prąd
Porywa zbyttnio w dale,
Chcąc wszystko mieć, lub wcale,
Wpadacie w wielki błąd,
Którego wam nie chwałę,
Którego wam nie chwałę.

Żył sobie pewien człek
Przeciętnie, czyli zdrowo:
Najlepiej, daję słowo.
Żywota jego bieg
Opowiem wam ab ovo,
Opowiem wam ab ovo.

Bez bogactw i bez nędz,
Majątku miał średnicę;
Ukazał na świat lice

W zwyczajny sposób, więc
Zrodzili go rodzice,
Zrodzili go rodzice.

Wstępować w ziemski byt
Za sprawą papy, mamy
I my ten zwyczaj mamy,
Ale, krańcowi zbyt,
Gorzej się w nim trzymamy,
Gorzej się w nim trzymamy.

Ty, gdy o los swój dbasz,
Żyj tak, jak ten człowieczek:
Umieść się w sam środeczek,
Żyć będziesz trybem basz,
Syt i zdrowiutenieczek,
Syt i zdrowiutenieczek.

W kolebce krzyk i płacz,
Wydawał (rzecz przyjęta);
Ssał pierś, jak niemowlęta...
Gdy się urodzisz, bacz
I ty mieć te talenta,
I ty mieć te talenta.

Na mamek, niań i bon
Opiece i poręce
Przepędził dni dziecięce.
I was żyć, tak jak on,
Mam pewność, że zachęcę.
Mam pewność, że zachęcę.

Aż w jeden piękny dzień,
Gdy miał potrzebne lata,
Do szkół go oddał tata,

By poznał nauk rdzeń,
Jak zwie się, z czego splata,
Jak zwie się, z czego splata.

Lecz nie był, jako wół:
Nie ciągnął zbytnio sochy,
Jak inny uczeń płochy:
Nie fryc, by zdrowie psuł,
Książ jeno dotknął trochy,
Książ jeno dotknął trochy.

Ostrzegam, dzieci, was
Na dobrym tym przykładzie:
Kto zbytnio sił w rzecz kładzie,
Kto zbyt w głębiny wlaź,
Ten w ciężkiej żyje wadzie,
Ten w ciężkiej żyje wadzie.

Nasz człowiek poznał dość,
Ażeby w sposób średni,
Do stanu odpowiedni,
Przeciętnie sobie rość,
A nie tak, jak my biedni,
A nie tak, jak my biedni.

My, których życia skarb
Przynęca w swoje tonie:
Nas może bezdeń schłonie.
Lecz ty... ty sobie skarb
Przepisy w dobrym tonie,
Przepisy w dobrym tonie.

Od burzy zdala żyj,
A będziesz zdrów i cały;
Krańcowe ideały

Lekceważ, gań i lżyj:
Do miernej dojdziesz chwały,
Do miernej dojdziesz chwały.

Zaręczył się, wziął ślub
We własnej swej parafii
I według wszelkich praw jej.
Tak samo i ty rób,
Gdy żenić ci się trafi,
Gdy żenić ci się trafi.

Ni w dół, ni w górę — het;
Ni dyabło, ni jak bogi;
Miarkując tempo nogi,
Idź tak, jak człek ten szedł
Koleją średniej drogi,
Koleją średniej drogi.

Czy jadł co, czy co pił
To tak, jak chce hygiena,
A nie tak, jak hyena.
Nie będziesz z tego kpił,
Bo wielka zdrowia cena,
Bo wielka zdrowia cena.

Gdy jesz, masz w tempie jeść
Ni śpieszmem, nie niemrawem,
Przeżuwać, chłonąć potrawę
I wcielać w swoją treść,
Z przyrody zgodnie prawem,
Z przyrody zgodnie prawem.

Kto nie zna żucia praw,
Ten łupem jest Kostusi,
Gdy kęsem się zakrztusi,

Przez nieroztropny traf,
Na cmentarz jechać musi,
Na cmentarz jechać musi.

Lecz nasz pocziwy frant
Nic nie zje, ani żłopnie,
Co jeść, pić nieroztropnie.
Praktyczny — mówi Kant —
Rozsądek celu dopnie,
Rozsądek celu dopnie.

A jednak człek ten zmarł,
Choć żył tak znakomicie,
Doprawdy — czy wierzycie? —
Bez chimer i bez mar
Choć żył, utracił życie,
Choć żył, utracił życie.

Choć nie był, *trup*, ni złym,
Ni dobrym — zżarła gleba;
Ni z piekła, *duch*, ni z nieba,
Ulotnił się, jak dym,
Jak wedle reguł trzeba,
Jak wedle reguł trzeba.

O synu, zdrowie chroń,
Dopóki jesteś młody!
Nie będziesz biegł w zawody,
Jak na wyścigach koń
I, zgrzany, nie pij wody,
I, zgrzany, nie pij wody!

O synu, strzeż się gór,
I nie siedź zbyt w dolinie:
I tam i tu się ginie.

Ty — średniość miej za wzór.
Nie wychodź za tę linię,
Nie wychodź za tę linię.

Tych, synu, prawd się ucz,
Tych w życiu trzymaj ścieżek.
Choć tego Kant ci nie rzekł,
Lecz ja ci daję klucz
I tajemnicy brzeżek,
I tajemnicy brzeżek.



DWA BIEGUNY.

I.

Do wyboru dały bogi:
Stan bogaty, stan ubogi.

W towarzystwie, jak noc ze dniem,
Stany żyją te sąsiedniem.

Stoi trumna i kołyska:
Przestrzeń między niemi blizka.

Szczyt rozkoszy, głąb niedoli
Na co chęć masz — wedle woli.

Pław się w szczęściu, top w żałobie.
Żyj, jak chcesz: masz rzeczy obie.

Smuć się brakiem, ciesz się zbytkiem;
Życiem pięknem żyj, lub brzydkiem.

Wybierz, na co masz ochotę:
Świątobliwość, czy niecnotę.

Bądź nababem, bądź derwiszem,
Mężem cnoty, lub urwiszem.

Drogę hańby, trakt honoru
Masz, człowiecze, do wyboru.

Bierz: jednako nam udzielon
Kir jest, albo ślubny welon.

Czy pieluchy, czy całuny,
Masz do woli dwa bieguny.

Albo żyj, albo umieraj,
Do wyboru masz. Wybieraj!

II.

Dwie wskazówki i dwie wagi
Życie ma dla równowagi.

Przeciwieństwa: morze z lądem
Wiara z wiedzą, sąd z przesądem.

Życie gór i życie dolin:
Kwitnie jednia z tych zespolin.

Czy mi rozkosz, czy zmartwienie
Padło: obie rzeczy cenię.

Czy wesele, czy żałoba:
Równo miłe stany oba.

Czy zwycięstwo, czy zagładę
Los dał, biorę sercem radem.

Czym jest blisko, czym w oddali,
Biorę, co bogowie dali.

Stan mi króla, czy nędzarza
Ma się zdarzyć, niech się zdarza.

Czy rość dębem, czy powojem
Rość mi — rosnę ze spokojem.

Są radosne mąk zenity:
Jest rdzeń uciech jadowity.

Ni kolebka, ni mogiła
Nie jest żadna mi niemiła.

Czy świadomą, czy bezwiedną
Dolę przeżyć — wszystko jedno.



ZŁOTA LEGENDA.

Co prawdą jest? któż wie?
Czy zmarły wie? czy żywy?
Któż poznał stan prawdziwy?
Czy prawda jedna? dwie?
Któż poznał stan prawdziwy?

Z niebytem zwał się byt,
Jak z lądem zwarte morze,
Naokół — dal, przestworze,
Bezbrzeżne *tertium quid*,
Bezbrzeżna dal — przestworze.

Śmierć z życiem, z nocą dzień,
Dźwięk z echem się zespala,
Woń z ambrą, z wiatrem fala,
Ród z zgonem, z światłem cień,
Woń z ambrą, z wiatrem fala.



Nad tą misteryą fal,
O piękna czytelnico,
Przychylne nakłoń lico.
Chcesz — gań mię, chcesz, to — chwal,
Lecz piękne nakłoń lico.



Lat temu wiele wstecz,
A więc prawdziwsza będzie,
Co powiem w tej legendzie:
O złotym grodzie rzecz
Opowiem w tej legendzie.

Złotniczych dziełem rąk
Był gród: miał bramy, wrota
I ulic bruk ze złota,
I mur z basztami w krąg,
I ulic bruk ze złota.

Dom w dom tam był, jak cud:
Pałace, wille, gmachy,
Od piwnic aż po dachy,
Ze złotych były rud,
Od piwnic aż po dachy.

Od spodu wzdłuż i wszerz
Ze złota, cal przy calu,
Z złotego był metalu
Od podstaw, aż do wież,
Z złotego był metalu.

Kunsztowny grodu styl
Rozsiewał blask w przestworze
I płonął, jako zorze,

Daleko o sto mil
Gród płonął, jako zorze.

Ze wszystkich świata gór
Był złoty kruszc dobyty
Na gród ten złotolity,
Na ten cudowny twór —
Na gród ten złotolity.

I późno w dzień, i wczas,
I w samo dnia południe,
Tęczował gród precudnie,
Barwami złotych kras
Tęczował gród precudnie.

Lecz trzeba z złotych rud
Świat było ogołocić,
By gród ten mógł się złocić,
Ażeby mógł ten gród
Cudownie tak się złocić.



Tu przerwie może kto:
— To wszystko ślicznie, kraśnie,
Lecz wolę razy sto
Prawdziwy byt, niż baśnie,
Prawdziwy byt, niż baśnie.

Na barwy sadź się, sil,
Jak chcesz... Nad słów *mamienie*
Ja wolę, gdy mam *mienie*.
Nad złotej baśni styl,
Ja wolę, gdy mam *mienie*.

Na życia luks, na wikt,
Choć nie jesteśmy skąpi,

Lecz kto z nas tak postąpi,
By styl mieć złoty? — nikt
Tak sobie nie postąpi.

Żyć w złotej baśni snach —
Zbyt z bytu wynaturza...

.

Ja jednak powiem: — Ach!
Cóż to za rozkosz duża!
Cóż to za rozkosz duża!

W tym grodzie z złotych brył
Dom, pałac, zamek, dworzec,
Jak świecił, trudno orzec.
Jak precudownie lśnił,
Doprawdy, trudno orzec.

I jaka wzdłuż i wszerz
Aureola ładna
Nad lasem lśniła wież,
Nie odda mowa żadna,
Nie odda mowa żadna.

I w świt, i w dzienny skwar,
W początku dnia i w końcu,
Tęczował gród na słońcu,
Precudnie ze wszech miar
Tęczował gród na słońcu.

Daleko o sto mil,
Jak przezłocista zorza,
Gród płonął wśród przestworza,
Jak marzeniowy styl,
Gród płonął wśród przestworza.



— A jednak, dali Bóg!
(Pan powiesz): lepiej, sądzę,
Byłoby na pieniądze
Ten cały złota huk
Przetopić na pieniądze.

Bo jeżeliby gród
Ten na gotówkę przelać,
Możnaby sobie w bród
Dziś się porozweselać,
Dziś się porozweselać!

— Lecz (powiem ja): ten gród
Złoty i fantastyczny
Jakże musiał być śliczny!
Ten marzeniowy cud
Jakże musiał być śliczny!

— Ba (powiesz): gdyby zeń
Ulała grosz mennica,
Jak lśniłyby mi lica
W południe, w noc i w dzień,
Jakby mi lśniły lica!

Gdyby monetę bić
Z takiej złotej kopalni,
To mógłbym najrealniej,
Nie w sennych złudach żyć,
Ale żyć najrealniej.

Choć baśń, która się śni,
Jakkolwiek jest złocista,
Jest na nic, gdy się z niej
Realnie nie korzysta,
Realnie nie korzysta.

Kpię z marzeniowych finf,
(Pan mówisz) bez obłudy:
Na jawie lepszy tyńf,
Niż we śnie złota pudy,
Niż we śnie złota pudy.

Jest prosta, gdyby nit,
I pewna teorema:
Bez grosza bytu niema,
Gdy grosz jest — jest i byt,
Bez grosza bytu niema.



Ja znowu powiem tak:
— Gdy marzeń ani ani,
Po bycie coś jest pani,
Jeżeli marzeń brak,
Po bycie coś jest pani?

Bo chcesz-li stawiać coś
I chcesz-li coś budować,
Musisz fantazyować.
Przez życie biegnie wskroś
Ten mus: fantazyować.

Ta prawda świeci nam
Najżywiej i najjaśniej:
Czy w życiu? czy też w baśni?
Jest prawda tu? czy tam?
Czy w życiu? czy też w baśni?

Wiesz z optyki (aż zbyt),
Że byt — to *omamienie*.
Zaś mówiąc: „o, ma *mienie!*” —

Toś wyrzekł: „o, ma był“
Wyrzekłeś: „o, ma *mienie!*“

— Ach, panie, ta gra słów
Mnie wcale nie zachwyca —
Odpowie czytelnica,
Odpowie na to znów
Nadobna czytelnica.

— O pani, rozmarszcz brew.
Z tej gry się wniosek wnosi:
Byt — niebyt: dwoje stref,
Na jednej życia osi,
Na jednej życia osi.



Realność znikła precz,
A żyje — spojrzij: złuda,
Marzenia, sny i cuda
Realna dla nas rzecz:
Marzenia, sny i cuda.

Marz, igraj złotem słów,
I niech ci lśnią w przestworze
Złocistej łuny zorze,
Aureola snów
I złotej łuny zorze.



NAJRZECZYWISTSZY BYT.

Najrzeczywistszy byt —
Dzieło epok, stuleci
Niszczyje dzień za dniem,
Aż się w niebyt rozleci.

Lecz jedno wiecznie trwa:
Trwa złudzeń niezniszczalność,
A niezniszczalna moc
Tej złudy — to realność.

Barw migotanie, dźwięk,
Wód poszum, gęźba leśna —
To bytu złudna gra
Nieskończona, bezkreśna.

Wschodem utkanym z róż,
Południem złotolitem
Jest byt, i zejściem dnia;
Wieczór i noc jest bytem.

Wykwita z nocy brzask
Pośnienie, który się prześni,
Ranek staje się dniem,
Z milczenia kwitną pieśni.

Mrze kwiat, aby żył płód;
Moment żyje w momencie;
W poczęciu — przyszły zgon;
W zgonie — nowe poczęcie.

Zrośnięty z ziemią pień,
Z pniem — korona gałązek,
Z gałęzmi — liść i kwiat,
A z kwiatem — woni związek.

Aromat żywic, ziół,
Nard całowanej kosy,
Echa dziecięcych lat,
Pogrzebne dzwonów głosy.

Rojeń wizyjnych cud,
Wyobraźniowe knieje,
Ostępna duszy głąb:
Ta realność — istnieje.

Szafiry nieba, ócz,
Pól ambra, łąk pokosy,
Pszczół brzęk wokoło malw,
Promienne dziewcząt włosy...

Baśniowe tajnie gór,
Olbrzymy — wichry halne,
Zaklęty w lochu skarb:
Te złudy są — realne.

Płyną momenty złud
Epoka po epoce,
Jak za nocami dnie
I jak za dniami noce.



WENECYA.



WENECYA.

I.

Skarbiec rzucony w Lagun zawilość.
Umarły dyadem.
Finał canzony słodkiej, jak miłość,
Zabójczej jadem.

Od lat tysiąca wbite na pale miasto —
Syrena umierająca.

Krwi Kantylena w skonu finale.

Tęczowe smugi mrące.
Płacz fugi.
Bizanckich łuków przedśmiertne lśnienie.
Snu zakończenie dożów.
Dziedzictwo turystów-kruków.

Ten promień słońca, prosty dziewiczo,
A siedmiobarwnie sztuką złotniczą
W tęczę wygięty.

To bazylika umierająca,
To Marek Święty.
Snu dośnił końca
I jak sen, znika.

Świątyni linie mrą.
W dogorywaniu, złoto-różana,
Jak wizya z rana, blaknie i ginie,
Zapominana.

W pieszczotach słońca,
W ogniu, w szafirach,
W niebieskiej jaśni,
W wód seledynie,
W ambrach i mirach
Umierająca.

Jak sen nad ranem,
Gdy, mierzchnąc, ginie w dogorywaniu,
W zgonie różanem,
W zapominaniu
I w dziennej jaśni.

Jak miraż baśni o Aladynie,
W ogniu, w szafirach,
W wód seledynie,
W ambrach i mirach umierający.

Płonął za dożów,
Od róży kraśniej,
Od barw motyli barwniej.
Dziś w zgon się chyli
Ten kwiat przestworzów —
Kwiat-kantylena, mrąca w finale.

Patrzeć, jak spłonie,
W proch się rozpyli,
W róż, w ambry wonie,
W niebieski lazur i w fal opale,
W aromat złota i w zapach miry.
Spłonie i zginie,
Frunie w szafiry przestrzennej jaśni, —
Miraż, cud baśni o Aladynie.



Z Adryatyckiej zrodzone głębi,
Labiryntowo kręte ulice;
Tłum gruchający przy bazylice,
Jak rozkochanych stado gołębi.

Tu nie jest smutne niczyje lice;
Tu w słońcu lud się, jak fala kłębi:
Zwiera się, kocha, wzorem gołębi,
Na Marka placu, przy bazylice.

Dziś łzom rozpaczny i smutkom wara,
Dziś w mieście dzwoni miłosna gwara.

Dziś już umilkły płacze i szlochy:
Stoją dziś puste więzienne lochy.

Posępne dzieje Mostu Westchnienia
Rzucone dzisiaj w toń zapomnienia.

II.

Jasny, promienny skier miryadem,
Olśniewający Lagun dyadem.
Aladynowej baśni ziszczenie.

Nirwany słodkiej cztery przestrzenie:
Niebo i Morze, Słońce i Miłość.
Epitalamium weselne dożów.
Seraj. Miłosnym jadem opitość.
Labirynt, który oplątał w kręgi
Edenów śnionych wschodnie lubieże.
Mozaikowe leże potęgi
Adryatyckiej, której lwów czworo strzeże,
Niezwycięzonych,
Uwikłań czworo, czworo przestworzów:
Słońce i Morze, Niebo i Miłość.

Snuje się, gdyby kołowrotek,
Chyżo kłębi
Radośnie, w krąg, dam kołowrotek
I gołębi.
Przy bazylice tuż, na *Piazza*,
Słów kołowrotek furczy szparko.
Iskrzy się w słońcu i rozłaca Santo Marco
Tum.

Na bazylice Świętego Marka
Lśni róż w emaliach, szafir i złoto.
Słońce-kochanek pieści jej lice
Majolikowe spojrzeń pieszczotą.
Kochankom wiernym najprzemilej
Godziny lecą.
Wydzwonił zegar na Campanili
Zenit południa — *giorno mezzo*.
Barwi się żywiej i ucudnia
Róż w mozaice.
I szafir zakwitł na bazylice
Świętego Marka weneckiem złotem.

Mowy gołębiej miłosna gwara
Dzwoni i dzwoni na Marka placu

Nieutrudzona.

— *O mio caro!* — szczebioce Ona —

O mój pajacul

— *O mia cara!* — śpiewa On do Niej —

O przyjaciółko!

Na Marka placu w kółko i w kółko,

Wszędzie i wszędzie *lo t'amo* dzwoni

Weneckiem złotem.

Tłum się przesuwają, jak fale w toni,

Tam i z powrotem,

To od werendy, to ku werendzie.

Zwarł się z pałacem dożów

I w parę sprzął Świety Marek

Miłosnym splotem.

W plac z ulic płynie, albo z powrotem —

Z placu w ulice, tłum par i parok,

I bez par zgoła,

Tłum kochających i tłum kochanych

Głęboko, głębiej i jeszcze głębiej

Wenecyanek.

Goreją lica, spojrzenia płoną

W czarnej ócz głębi.

lo t'amo woła w głos ukochanek,

lo t'amo grucha, wzorem gołębi,

Ukochanica.

To od krużganku, to pod krużganek,

Tłum par wiruje, gdyby wrzeciono.

lo t'amo woła gołąb-kochanek;

lo t'amo gołąb-ukochanica;

lo t'amo woła plac i ulica,

Miłością woła nieutrudzoną.

W kochanio-twórczy rytm serc wrzeciono,

Pchnięte w ruch, furczy.

Wśród słów, oddechów, spojrzeń zespolin,

Wśród migotania ócz Wenecyanek,
Przy dźwiękach śpiewu z wtórem mandolin,
W pobliżu Lagun zielonej głębi,
Tłum par kochanków i bez kochanek
Tłum, i gołębi, rwących z rąk ziarnka,
Tłum, rozedrgany na Marka placu,
Od bazyliki ku bazylice,
Tam i z powrotem snuje się, kłębi,
Serca tęsknicę dowoli kojąc,
Szczęsny żywotem.

III.

Furcząco, gdyby kołowrotek,
Tłum się kłębi.
Okrzyków, śpiewów, rozmów, plotek
Gwar bez końca.
Narodów tu, jak stad gołębi.
Żar południowy słońca.

Snuje się z ulic, albo w ulice,
Tam i z powrotem, za parką parka,
Rytmem weselnym, od bazyliki
Do bazyliki
Świętego Marka.

Południe barwy rozptomienia.
Lśnią kolumnami Prokuracye.
Kawiarń werendy i podcienia
Pełne turystów.

Przeróżne nacye:

Anglik — pan globu,
Ma swoje *home* na półkulach obu.

Czerwony krwiście.
Pcha i przedziera się zamasyście
Przez tłok uliczny.
W ruch puszcza pięście:
Widać, że iście człek energiczny.
Służy mu szczęście. Pogardza tłumem.
Jest mu los kumem.

Prusak z swą *Frau*
Najczcigodniejszą kroczy pomału,
Langsam chód, mina
Hoch, munter i stramm — prosto z Berlina.
Na ich się twarzach niemieckich znaczy
Ausrotten — wyraz przeciw-polaczy,
Obcy Włoch niebu:
On jest Ha-Ka-Te, ona — Hekate,
Prosto z Erebu.

Niemiec Południa:
Saksończyk, Bawar,
Chętnie werendy kawiarni zaludnia.
Ma on i dla nas i my dlań względy.
Jednego z drugim
Łączą sojusze: Drezno ma przechów sztuki
W Cwingerze, Mnichów malarzy
Bierze na wychów, który cokolwiek
(Zaznaczyć muszę) „bawar“ utrudnia.

Francuski jakiś maryaż młody
Tu *Sleeping-car*'em przybył z Paryża,
Na miodowego miesiąca gody.
Ona, jak perły, ząbki wyszczerza,
Błyska oczami, ogniem pierścieni,
Mówią do siebie: *mon petit bijou*,
Są zachwyceni

Oglądanemi w witrynach *bijoux*,
I, widać, tęskno im po Paryżu.

Rosyanin — *Russo*,
Conte lub *duca* z szeroką duszą,
Tu turystycznych awantur szuka.
Lecz mu jest smętniej
Tu, niżli w Pitrze.
Tam ma uciechy w swojskość obfitsze:
Tu mu kopytem trójka nie tętni,
I dygnitarze z mową kozaczą
Nic tu nie znaczą.

Polak — *Polacco*,
Urokiem pawia zawsze jednako
Czaruje nacye, gdy się zabawia
W arystokrację. Duch wszechczłowieczy:
Umie używać wszystkich narzeczy, bo mu jest własne,
Choć rozciągnięte na trzy zabory — jeszcze za ciasne.
Jako Sarmata, w swój język ongi
Łacinę wplata.
Potem, w afektach zmienny i płochy,
Polubił Włochy.

I kult Hiszpanii u nas popłaca,
Która Lojolę dała Ignaca.
Dla Portugalii cześć ma niemałą
Polak, przez miłość ku „portugałom“.
A na pamiątkę Zygmunta Wazy
Ku Szwedom również niema odrazy.
Francya, w naszej wielkości zgłiszczce
Patrzyła, bacząc, zali coś zyszcze —
Francya — zawsze dla nas bożyszczce,
W sztuki nadobnej berecie z Frygii,
Francyal... W jej czczeniu nie zna fatygi

Świat od lat wielu.
Mniej w Emanuelu
Kocha się w Kancie
I w Niemcach, kiedy poznał to z Nietzchem,
Że Niemiec — niczem
Dzisiejszy... Może przyszła Germania
Pobudzi więcej nas do kochania...

Jeden kolumnien rząd w Prokuracyach
Jest ocieniony, a drugi — w słońcu.
Jak duch, raz w jednych jawi się nacyach,
To znowu w innych.

Na mandolinie grają.
W jej strun wibracjach tęsknota
Dziwna dzwoni. O czym i za czym?...
Cud — pałac dożów.
Za nim wybrzerze *dei Schiavoni*.
Tam gondol postój.

Krzyk przewoźników, istnych siepaczy.
Woła, zaprasza każdy, zachęca,
Goni za tobą i krzyczy w kółko.
— Niech Miłość Wasza,
Niech *Eccellenza* z swą przyjaciółką
Łaskawie raczy sięść w moją barkę,
Siąść w moją barkę niechaj zezwoli!
Per Bacco! trzeba być Świętym
Markiem kamiennym,
Żeby nie wziąć gondoli.

O, kraju dożów!
Kolio, oprawna w szafir przestworzów!
Skarbie, rzucony w Lagun zawilość,
Gdzie Morze z Niebem,
Gdzie z Słońcem Miłość.

Gzemsy, naczółki i obramienia,
I w mozaice róż.
I iglice wież rozpłomienia
Żar, w bazylice Świętego Marka.

Przy Campanili, w placu obrębie,
Miss albo *lady*, smuklejsza,
Bielsza od białej lilii,
Karmi gołębie.
Zgina się, chyli,
Jak kwiat na wietrze,
Ku rojnej armii ptaków
I sypie z rączki groch, kukurydzę,
Albo niekiedy cukrem je karmi
Oraz pszenicą.
Od lilii bledsze
Wiatr jej pieściwy owiewa lico.
Być widzem tej *miss*,
Lub *lady* słodko.
A jeszcze słodziej mieć ją w przyboczu,
I być z nią w barce,
Szafir jej oczu
Z morza szafirem równać,
I tak z nią w parce
Popłynąć w cichych Lagun zawitość...

O kraju dożów!
Kollio, oprawna w czworo przestworzów:
W Niebo i w Morze, w Słońce i w Miłość!

Serc epopea
Na Marka placu.
O *niej*, o mężu,
I o kochanku jej — o pajacu,
Serc epopea.

Dziewczę i starzec w małżeńskiej parce.
Więc *cicisbea* bies tu gra rolę.
Tnie na gitarce
Jej barkarolę,
Na strunach dzwoni
Lubej, jak dzwonek,
Do ucha szepce o uczuć głębi,
I grucha, grucha
O idealnej spójni gołębiej
Na Marka Placu.

— Ach, żyć! żyć — śpiewa — przy twoim boku! —
Jej pod woalem
Błyska żar w oku,
Szepce namiętnie: — *o, mio caro!*
O, mój pajacul
— *O, mia cara* — on jej znów dzwoni,
Palcami w strunach wyprawia harce,
I razem, w parce
Idą na *Riva dei Schiavoni*.
Tam, zakochani,
Żeglują w barce
Po falach toni.
Ona szczebioce, jak srebrny dzwonek,
On *cicisbea* odgrywa rolę:
Tnie barkarolę.

Serc epopea...
Mąż? mąż ich tropił.
Dziś, bez dekretu,
I jej, i jemu w piersiach zatopił
Klingę sztyletu.
Zgasił im w duszach miłosne tchnienie.

Evohe Bacco! Rozkosz i miłość!
Raz tylko jeden pożyć w Edenie,

A potem cicha z śmiercią zażyłość.
Serc epopea,
Wplątana w modrą Lagun zawilość.

O, kraju dożów!
Kolio, oprawna w czworo przestworzów:
W Morze i w Niebo,
W Słońce i w Miłość!

O miasto — Venus Anadyomenel
Córo fal morskich, zrodzona z piany,
Umierająca dziś, w migotaniu
Dawnych splendorów,
Złocista, cudna
Inkrustowanych róż i szafirów
Emaliami.



BARKAROLA.



BARKAROLA.

I.

Być — dobroczynna niebios przysługa;
Ale i nie być — też błogość druga.
Rozkosz mieć w życiu i w nieistnieniu;
Kochać się w słońcu, miłować w cieniu;
Allegro płynąć dalej i dalej;
Radośnie brać, co bogowie dali;
Odpływ się zdarzył, czy przyptyw fali;
Los dał mi tamte, czy te wybrzeża:
Ano, niech we mnie, jak chce, uderza.

Bądź pozdrowiona, morza głębino!
Arf akordami twe wody płyną;
Rytmem pól twoje szumią bezdroża,
Kwietnym opyłem pachną, jak zboża,
Ajerem łąk i leśną darnią.
Rozkołysana, w tanecznym pędzie,
Otchłań w dal toczy swoje krawędzie,
Leci od lądu w bezkres przestworza,
Ale znów tęskna na ląd przybędzie.

Borem jest morze, pustynią, stepem,
Absolutyzmem żywiołu ślepem;
Rumaków stadem jest bez uździenic,
Krzykiem mew, barw grą, zachwytem żrenic;
Alarmem wiecznym jest, burz szeregiem,
Rykiem fal, walką z zacisznym brzegiem.
Otchłanią, która, choć wszystkie męty
Łądów i brud jest przez nią chłonięty,
Arcy ma czyste zawsze odmęty.

Białe po niebie chmurki wiatr przędzie,
A dołem szumi fala w rozpędzie.
Rodzime — rzekłbyś — ptactwo nad zbożem:
Kołują stada mew tu nad morzem.
Albatros przemknął oddalą siną —
Rybitw nad polną naszą nizina.
Okręt nasz fal przecina krawędzie
Lemieszem kilu, jak ostrzem pługą,
Aż za okrętem pian biała smuga.

Błogostawiona mirtów kraino!
Arkadyo włoska, wybrańcza, Boża!
Rozkoszny dzień twój świeci, gra zorza;
Kochanie twoje słodsze, niż wszędzie;
Aromatyczniej pachnie twoje wino;
Rozkoszniej w twoim życia rozpędzie!
Oliwność gajów twoich srebrzysta;
Lazur wód, nieba jasność przeczysta —
Ave! Niech pozdrowiona mi będzie!

Blisko już widać ląd. Od wybrzeża
Aureolą błysnęła wieża:
Raz wraz zakwitnie jakiś gmach grodu;
Kraśniej barwy, jak wśród ogrodu:
Amarant, szafir, pons, róż i lila.

Roi się czarnych gondol flotylla.
O nasz się bagaż gondolierzy,
Łząc wzajem, kłóćą i wołań falą
Albergo swoje rają i chwałą.

Barka nas wiezie w zajazd (w „lokandę”)
Arteryą główną (*Canale Grande*).
Raptem wjeżdżamy w wązki, jak żmija,
Kanał, gdzie ledwie łódź łódź wymija.
Aspekt tu mroczny wśród ciasnych murów:
Rdza, pleśń, zbutwiałość wód i marmurów.
Okien tu słońca blask nie przebija.
Lecz wtem... Coś błysło... Ach, to od baśni
Aladynowej pałac lśni jaśniejsi!

Brzaskiem jutrzennym tęczowo płonie
Architektury cud — pałac dożów.
Rzekłbyś — wiośnianych mu swoich liście
Kwiatów oddały wszystkie jabłonie,
Ażeby jaśniał tak przezłociście
Rajski ten miraż, ten cud przestworzów.
Odmęt mu bije czołem w pokłonie;
Lewantu słońce haracz mu pali
Adoracyjnym ogniem opali.

Bok w bok z pałacem, jak z swym rycerzem,
Anielskie zdobiąc w rumieniec lica,
Rozmłotwana, stoi świątnica —
Królowa nad Słowiańskim pobrzeżem.
Arkad pięć o bizanckim przełomie
Różem mozaik świeci, jak płomię.
Około tumu wieża-dzwonnica
Lamentującym powiada dzwonem:
Ananke! Wszystko się kończy zgonem.

Baśniowość wschodu gra w bazylice.
Arabia ma tu swoje ulice,
Renesans — głośnie w dziejach imiona.
Kultura Rzymu w niej zaszczerpiona.
Amor i *Venus* lubieży płomień —
Rzymskość jej dali: szął bez poskromień.
Odrodzeniowe uciechy przednie
Lśniły, pyszniły się, jak kwiat, we dnie,
A i w noc zbytciem wrzały nie biednie.

Bowiem gród, morza tworzony wzorem,
Absolutyzmu był arcytworem;
Rządem swawolnych dusz bez użdzienic;
Katuszą wolnych był dusz-męczennic.
A jako ocean jest czym? — potworem,
Rozrostem dziwnej flory i fauny:
Oceanicznym żył gród ten życiem.
Larw i ukwiaków cudnych odbiciem;
Algi tu kwitły, nimfy i fauny.

Błogosławione mi bądź, o morze,
Arfiana gędzbo płynnej symfonii!
Rozkołysane twoje bezdroże
Kocham, jak niebo, jak wiosną zboże!
Anyżem pachniesz mi, jak woń błoni;
Rosą łąk pachniesz, wrzosami w borze;
Opyłem kwietnym grusz i jabłoni;
Liściem czereśni, gdy w maj się płoni;
Aromatami róż w letniej porze!

Być! Istnieć! Z wszelkim zerwać kłopotem!
Aladynowem istnieć żywotem!
Rojeń ziszczeniem swoich żyć złotem!
Kochać najdziksze swoje marzenie,
Abrakadabry snów swych zawitość;

Rozkosz miłować, ukochać miłość,
Oceanicznych fal skojarzenie;
Lot dać fantazyom, pożyć w Edenie,
A potem — cicha z śmiercią zażyłość!

Barw kroć na placu Świętego Marka
Agni słonecznem olśniewa złotem.
Rojny lud płynie tam i z powrotem,
Kłębiąc się w plac, lub z placu w ulice.
Armia gołębi przy bazylice:
Rozwiera, zwierza się z parką parka.
Objęte szaleńcem Wenetki lice
Lunatycznymi oczyma toczy.
Aksamit czarny mniej, niż te oczy.

Brzeg Słowian. *Riva dei Schiavoni*.
A wzdłuż pobrzeżu senne gondole.
Rozpłakał głos się czyjś: barkarolę
Ktoś śpiewa. Ktoś mu strunami dzwoni.
Andante. Wstępna życia zawilość.
Rośnie precudna włoska dziewczyna.
Oczyma wabić *dolce* zaczyna...
Largo! Niech żyje *con fuoco* — miłość!
A potem finał: z śmiercią zażyłość.

Bizantyjskiego fasadu tumu;
Arkad wygięcia, łuki, wieżyce;
Rzeźby, klejnoty barw w mozaice;
Kolory damskich sukien; strój tłumu;
Alabastr, marmur, kolumny w rzędzie;
Rozmowa, która wartko się przedzie
O niczem, byle jeno bawiła;
Lustrzaność wystaw; turyści wszędzie:
Abrakadabra ludów zawiła.

Błękit pogodny. Wiatr sprzyja trwale.
Ażur obłoków. Z szafiru fale.
Rialto Ponte mija gondola.
Kochanków wiezie (szczęśna ich dola!).
Ani im grozi chmurny obłoczek.
Rzęsy spuszczone ona ma oczek.
On na nią patrzy słodko, omdlałe.
Lekko gondola ich mija fale.
Ambrozyowa, szczęśna ich dola!

Brzęknął strunami kochanków parce
Adonis — śpiewak najęty w barce.
Romanza — w sam raz dla czulej pary.
Kochania pieśń „o *Maria-Mari*“.
Arya na tle dwóch serc osnuta:
Rzewnie piosenki wibruje nuta
O ich rozkoszy, o ich udręce.
Lawirujące po strunach ręce
Akompaniament grają piosence.

Był sobie mąż raz i była żona,
Ale nie żyli dobraną parą.
Raz poznał młodzian ją w karnawale.
Kocham cię — rzekła: o *mio caro*
Amore! Miłość — niezwyńczona:
Raczej mi umrzeć, niż nie być twoją.
Otello, mąż, gdy szczęściem się poją,
Lubość im w śmierci zmienił *finale*,
A potem ich utopił w kanale.

Była raz córka możnego panka,
Ale biednego miała kochanka.
Rozkazał ojciec jej: — Beatrice,
Kochaj *mnie*. Rzekła ojcu: — Nie życzę.
A gdy chciał zrobić ją swą gamratką,

Razem go dzieci otruły z matką.
Osądził rzecz tę Papież dość gładko:
Lochem ukarać za niepokorę,
A potem kazał ściąć ich toporem.

Był doża raz Marino Falieri.
Arystokratów nie lubił sfery.
Rozgłosił jeden mową węzową
Kalumnii brud na żonę dożową.
A gdy mąż kar chciał za tę szkaradę,
Rada nobilów zerwała radę.
Obmyślił koniec ich panowaniu,
Lecz sam zdradzony został przez zdradę,
A potem ścięty na rusztowaniu.

Był doża, pan Foscari Francesko.
Ale ze szlachtą źle żył wenecką.
Rozgłosił jeden z nich: nadużyciel
Kradnie skarb doża! Czy uwierzycie?
A więc mu syna wziąć na tortury,
Rwać ciało, z żył mu ullać purpury.
Ojciec nieszczęsny błagał o dziecko.
Lecz nie ubłagał. Przeklął oszczercę,
A potem — potem pękło mu serce.

Być — dobryczynna losu przysługa,
Ale i nie być — też błogość druga.
Radość jest w bycie i w nieistnieniu;
Kochanie w słońcu jest i jest w cieniu.
Ambo meliores bogowie dali:
Rozkosz i boleść ludziom w podarku.
Obie — dwa równe brzegi bulwarku,
Lecz od swych bogów byśmy żądali:
Aby mieć rozkosz bliżej, ból — dalej!

Bizancyum echo gra w bazylice.
Arabskie dożów pałac ma lice.
Renesans mają Wenecyanie —
Kult sztuk w Bellinim i w Tycyanie.
Amor (wspak *Roma*) dała im płomień
Rozpusty bez dna i bez poskromień.
Odebrał berło los Republice.
Leży zwalczone dolą Niebieską —
Archiwum lat tych, wspomnień *alfresco*.

Był zwyczaj ten, że wenecki doża
Aktem brał ślubnym w lenno toń morza.
Rzucony pierścień w toń był symbolem
Kupienia morza w wieczną niewolę.
Ale niewola nie trwa niczyja:
Rujnuje czas ją, jej zwyczaj mija.
Otchłań, pomimo wieczne z nią śluby,
Lubego swego wiodła do zguby.
Ach, nie trwa przemoc żadna, niczyja!

Brzemienne mieniem statki wszelakiem,
Adryatyckim płynęły szlakiem:
Różane drzewo szło z Syrii gajów;
Kosztowny bisior i adamaszek;
Alepo słało stal i Damaszek;
Robotnik ze słowiańskich szedł krajów;
Odalisk towar — z Turcyi serajów;
Lwi łup ze złotem, z materyą drogą
Adryatycką wodną szły drogą.

Był czas... Lecz one wyśnione baśnie
Aladynowe — wszystko wczas gaśnie.
Rzeczpospolita Wenecka w falach
Kończy dziś żywot, wbita na palach.
Alkiermesowe zachody słońca;

Rannych zórz czerwień — to krew ciekąca.
Oddaje duszom, które jej bratnie
Lwie swoje tchnienie ten gród ostatnie,
Aż skona — miasto wbite na palach.

Był zwyczaj: w *bocca* ktoś *di leone*,
A co po polsku znaczy „lwie usta”,
Rzucił nazwisko niezbyt lubione
Kogoś, co sprzeczne z zdrajcą miał gusta.
Aparat tortur łamał mu koście.
Rzucali w kanał trupa „i sbiri” —
Oprawcy, mówiąc z polska, ichmoście.
Legenda krwawa o Westchnień Moście,
A z włoska — *Ponte dei Sospiri*.

Był taki zwyczaj w czasy minione:
Anonim w *bocca* kłaść *di leone*.
Radcy (dziesięciu było) ichmoście
Katom kazali łamać mu koście,
A potem rzucić w podziemi zgniłość,
Robactwu w loch kazała ich miłość.
Od tego czasu, jak chce pogłoska,
Lament dusz słyszać na Westchnień Moście,
A *Ponte dei Sospiri* z Włoska.

Był taki zwyczaj w Rzeczpospolitej.
Ale dziś zapomniany, przeżyty.
Różnicy zdań dziś nie karzą lochem;
Kat się dziś brzydzi ofiary szlochem,
A nawet — nie tak jak dawniej — kata
Rozczuła mowa dziś adwokata.
Ofiary dziś się w sztuki nie płata,
Ludziom tortury nie łamie kości:
Albowiem inny dziś typ ludzkości!

Bielutkolica i złotowłosa
Anielka młoda, szczupła, jak osa,
Roje na placu pasie gołębi.
Kukurydzowe sypie ziarenka
Anielska jej, jak lilia, ręka.
Rzuca im również groch i pszenicę.
Opchany gołąb, ile się zmieści,
Lubem gruchaniem wabiąc samicę,
Ametystami skrzydeł szeleści.

Bóg, przez uczucie dla Anglii wielkie,
Anielsko białą stworzył anielkę.
Rzec o niej można najprzybliżenięj:
Krew to jest, która z mlekiem się żeni.
Albionu córka w słońcu, w południe,
Róż przypomina koloryt złudnie.
Okolo czoła i lic jej bieli,
Lniany się złoci obłok kądzieli.
Ach, ci szczęśliwi, co to widzieli!

Brzydszą jest — dużo, niestety — niemka.
(Austria, Prusy i kraje mniejsze),
Ród niemek inny wdzięk ma, niż gejsze.
Kochać się można w nich, lecz z pociemka.
Atoli, gdy jest na świecie widno,
Rajskie z nią nawet rzeczy obrzydłą.
Otóż ten sposób ci się zachwala:
Lubi cię, bądź za Sardanapala,
Ale proś, niechaj lamp nie zapala.

Bratnio się zawarł tu naród z narodem:
Anglia dostarcza miastu anioła;
Rosya — czegoś innego zgoła;
Krajowiec każdy — włoch — śpiewak rodem;
Alp dzieci, czyli Wilhelmy Telle

Rząd rozpostarli tu na hotele;
Okręty trzyma niemiec w arendzie;
Lubi pić polak tu na werendzie.
Amerykanin — ten pije wszędzie.

Blask tęcz ubarwia ludów te tłumy.
Amarant w tumie lśni mozaice;
Rzeźbione odrzwia, kolumn główce
Kamienią swoją prężą zawitość.
Akordy rozmów i wód poszumy.
Razem się łączą przy bazylice
Odurzająco, jak śpiew, jak miłość,
Lud tu się kłębi tak, jak się skłębia
Adryatyckiej zatoki głębia.

Brzeg cichnie słowian — *dei Schiavoni*.
Aniół im Pański z wieży dzwon dzwoni.
Rozgwarna milknie dnia kantylena.
Ksiądz w świętym Marku ludowi szepce
Ave Maria gratia plena.
Rumor na placu zgaśł i bulwarku.
Otulił w szarość zmierzch kopuł czepce.
Latań blask. Szepce ksiądz w świętym Marku:
Ave Maria gratia plena.

II.

Brzeg usypany ziarnistym zwirem.
Alea palm pod niebios szafirem.
Raz po raz fala, pełna rozgwaru,
Kamienne zrasza stopnie bulwaru.
Allegro dzwonki mulnicze dzwonią.
Róż zapach z mimoz łączy się wonią.
Oliwne gaje na górskich zboczach.
Lenistwo słodkie w kobiecych oczach.
Amarantowe kwiaty w warkoczach.

Bazylik, świątyń cudne ogrody.
Alfreska, marmur rzeźb, polichromy —
Ruin poezya prastarej Romy.
Kurz wspomnień wonnych, jak perfum wonie,
Albo jak echo po zmiłkłym dzwonie,
Rozpływające się coraz dalej
Odgłosem mrącym, aż zcichnie w dali.
Laurów kraj ten, o moja miła,
Ach, był mi rajem, gdyś ze mną była.

Błądzą, samotny, dziś w tej krainie
Aren tlejących, zamków w ruinie,
Rumowisk świątyń, umarłych dzielnic,
Kościołów, kaplic, wież, dzwonnicy, chrzcielnic,
Ambon, naw, kopuł, które jak czary
Renesans wygiął przez kunsztu czary...
Otwarta dziejów stoi skarbnica.
Legło w proch wszystko. Wszystko przeminie,
A pozostanie wieczna tęsknica.

Bogami pełne w muzeach sale:
Arystokracja ich i wasale.
Rozkazujący z brązu piorunom,
Król Jowisz stoi na piedestale.
Alabastrowa tuż przy nim Juno.
Rdzawy Apollin — bożyszcze słońca.
Olbrzymi Herkul. Niobe płacząca.
Lubieżni w nagiej niewstydlivosti
Amor i Venus — bóstwa miłości.

Brzemieniem powiek zamkła źrenice
Atene-Pallas grecka, w tunice.
Rycerski Mars jej coś opowiada,
Kochanką jego — bogini Nice,
Ale i Venus nań też nie biada.

Rzucają dyskiem dwaj dyskobole,
Olimpijskiego ruchu symbole;
Lekko poleciał krąg z rąk gładyszy,
A oni patrzą... Zda się bronz dyszy.

III.

Brać kazał granit Francesco Sforza
Architektowi dla swego dworca;
Rzezać na bloki marmur różany;
Kolumny strugać smukłe, jak panny;
Akantem ich uwieńczyć głowy;
Różami stroić, jako dziewice;
Ozdobić frontu drzwi i z podwórca
Lwiemi paszczami: niechaj to zwierzę
Arcydział mego pałacu strzeże.

Budynek niech okoli rząd cisów,
Akacyi szereg i sznur cyprysów.
Roślina pustyń niech tu dojrzewa:
Kaktus, figowe z Sachary drzewa.
Aloe: niech się z mimozą splącze;
Rododendrony niech ujmą pnącze.
Opuncyi klomb niech kasztan ocieni.
Lilie niech rosną wśród berberysów;
Agawa niech się z palm cieniem żeni.

Bóstwa tu niech mi z Grecyi klasyczne
Aleje zdobią strzyżone, śliczne.
Różowa niechaj przez liście miga,
Kusząc swym ruchem w tył, Kallipiga.
Apollo niech zamieszka ustronie.
Rząd niech przedstawia Zeus na tronie.
Odgłosem dryad niech się gęstwina

Laurów ozwie. Niech w chaszczech wina
Adonis błądzi w kochanek gronie.

Bachus tu niechaj żyje młodzieńczy.
Amora grono nimf niechaj wieńczy.
Rozpustny faun niech tu się siania
Koło drzew, chucią żarty kochania.
Afrodyt kilka tu w cieniu liści
Raj utracony grecki niech ziści.
Olbrzymi Herakl niech tu w marmurze
Ludziom się zjawi, biegłym w kulturze,
Admirującym to bóstwo duże.

Bóstw grecko-rzymskich mam antenaty;
Adamaszkami kryte komnaty,
Rzeźb, zbrój, mozaik, obrazów pełne,
Klejnotów, mebli... Szczęście zupełne.
Aby ta moja kwitła ojczyzna,
Rzeź, gwałt mi służy, sztylet, trucizna.
Opornych wrogów ścigam i tropię,
Lochem ich zgnajam, ścinam ich, topię,
Aby ta moja kwitła ojczyzna.



Błądzą myślami dziś w tej krainie
Aren tlejących, wież, dzwonnice, chrzcielnic;
Rdestem porośłych umarłych dzielnic;
Kościołów, zamków i twierdz w ruinie;
Arcydzieł z brązu, z marmuru łomów;
Rzeźb, malowideł i polichromów...
Obrasta dzisiaj mchem ta skarbnica:
Legło w proch wszystko. Bo wszystko minie,
A pozostanie wieczna tęsknica.



TOŻSAMOŚĆ.



TOŻSAMOŚĆ.

I.

W górach wezbrany potok.

Falom puścił wodze:

Obala i rozkrusza

Głazy na swej drodze.

Jak lew grzywą, potrząsa

Kłębami oparów

I, skacząc po granitach

Jak lew, biegnie w parów.

Ujrzał zdobycz — dolinę

I ostatnim skokiem

Spadł w nią i jej łożyskiem

Zawładnął szerokiem.

II.

W zwierzyńcu lew. Królewską

Zwrócił ku nam głowę

I zatopił w nas oczy,

Jak nurt chłodne, płowe.

Oczy te lwie tak świecą,
Jak przezrocza woda,
I taka w nich przebija
Popędliwość młoda,
I taki jest majestat
Lśniący we lwiem oku,
I taka moc, jak w groźnie
Wezbranym potoku.

III.

Błyskawica, gdy niebo
Jasnością przemierza,
To ptak, kiedy, jak piorun,
Spada z chmur na zwierza.
Kwiat, który swe wiosenne
Porozwijał liście,
Jest jak dziecko, gdy patrzy
Oczyrna świetliście.
A te oczy, te czyste,
Te przez życia męty
Nieskalane, gwiazdziste:
To — dwa dyamenty.

IV.

Co za rozkosz całować
Ukochanej usta,
Nie powie tego żadna
Mowa złotousta.
Ale, żyjąc i bez tej
Niewymownej rzeczy,
Zbytnio fortunie człowiek
Niechaj nie złorzeczy.

Raju pragnął — ma piekło;
Piekło zniósł — ma eden:
Wierz mi, kochać, nie kochać —
Zarówno los jeden.

V.

Czyś żył samą trucizną,
Czy żyłeś balsamem:
Zawsze kończy się życie
Tem samem, tem samem.
Kogoś miłował, tracisz:
Przyjaciela, wroga —
Wszystko a wszystko śmierć ci
Odejmie złowroga.
Zostaniesz sam, wiatr wyssie
Twoje łzy nadgrobnę,
I będzie twoje życie
Do śmierci podobne.

VI.

Źle jest, jeżeli człowiek
Dlatego łzy roni,
Jeżeli być szczęśliwym
Dola mu zabroni.
I źle jest być — tak samo —
W niepamiętnym szale,
Jeżeli nam ku szczęściu,
Los przeważał szalę.
A rzecz dobra, rzecz godna
Życiowych smakoszy
Jest: wielbić jedność bólu
I wszelkiej rozkoszy.

VII.

Nad morzem, stepem, borem,
Pasmem gór, moczarem
Słońce wschodzi, zwabione
Rzeczy ziemskich czarem.
A im bardziej się wznosi
Po nad okolicę,
Tem bardziej rozpromienia
Swoje złote lice;
Obejmuje radości
Ziemskie światła bielą,
Aż mu te wszystkie ciemne
Rzeczy się rozbielą.

VIII.

Szuka na ziemi prawdy
Bez mgieł, nieobłudnie,
Jasny, niepokalany
Słońca żar w południe,
I widzi: że jad trucizn
I słodkie balsamy
Biorą początek z rzeczy
Tej samej, tej samej;
Że pełni ludzie cnoty
I ludzie cnót próżni
Tacy są jednakowi,
Choć tacy są różni.

IX.

Człowiek, bardzo chwalebny
W Jezusie Chrystusie,
Bliźniego, który grzech ma,
Spaliłby na stósie.

A ten, w kim wielebności
Pół nie było cała,
Łotr, bliźniego, gdy tonie,
Od śmierci ocala.
Te rzeczy widzi słońce
I ich rozumieniem
Radosne, pałającym
Świeci dnia promieniem.

X.

Bogacz, który majątek
Duży zbił na kramie,
Pełen pychy, na biednych
Spogląda przez ramię.
Ale, choć u wód latem
Spędza, maj — w Paryżu,
Kończy tak, jak i żebrak
Był — na paraliżu.
Bo chociaż jeden hurtem
A drugi potrosze,
Zbierają ten i tamten
Rzecz tę samą: grosze.

XI.

Jeżeli człowiek niebo
Fortunie zawdzięcza,
Niech wie, że fawor losu
Jest, jak nić pajęcza.
Jedno lekkie dotknięcie,
Wiatru podmuch jeden,
I, jako ta cieniuchna
Nić, rozwiany eden.
Życie płynie tak samo.
Jak na morzu fale:

Kształt ich nie trwa, jedynie
Zmienność żyje trwale.

XII.

Uśmiech dziecka, róż zapach,
Tęczy barw siedmioro:
Rzeczy te wszystkie z jednej
Swoj początek biorą.
Szumna fala na morzu,
Dźwięk skrzypcowej nuty;
Z jednakowych jest źródeł
Tworzenia wysnuty.
Głosów ludzkich gdy słucham,
Śpiewu ptactwa w borze,
I wichru skargi; nie wiem:
Czy żyję? czy tworzę?

XIII.

Kiedy tęsknota pierś mą
Pali, jak zarzewiem,
I kiedy chciałbym ulgi;
Żyję? czy mrę? — nie wiem.
I kiedy przyjacielskie
Znajdę serce czyje,
I wiernym mu jest, nie wiem:
Umieram? czy żyję?
I z moją ukochaną
Gdy ramiona zwieram,
Zaprawdę, nie wiem: czyli
Żyję? czy umieram?

XIV.

Czy cię po śmierci drogim
Namaszczą balsamem?
Czy w dół zakopią? — śmierć jest
Tem samem, tem samem.
Czyś bogato żył w życiu?
Czyś życiem żył biednem? —
Życie, jak śmierć, jest zawsze
Tem samem i jednym.
To co w górze, to samo
Jest i na padole:
Więc żyj tą życia jednią
I błogosław dolę.

TRÓJRYTM.



TRÓJRYTM.

I.

Oceaniczna fala raz wraz uderza w ląd,
Raz wraz impet wyzwala szumny, nim pomknie wstecz.

Ciążeniem nieruchomy, ląd, niby cielsko legł.
Kruszy go na atomy głębia i wchłania w nurt.

Odpływa i przy pływa oceaniczny bóg:
W lokach pian biała grzywa, rozpuszczona na wiatr.

Biegun z otchłannej dali zatupotał o brzeg,
Żeby go ujarzmiali, wyzywa, chlustem drwiąc.

Oto dźwigają groble: granity, gnejsy, cios,
Żelazne sztaby, skoble, głazy strażniczych baszt;

Tamy — wód uźdźienice, łańcuchy, kłęby pęt,
Ankary i kotwice, zwoje kabli i lin;

Smół gąszcze, mazie smarów dźwigają, zmazać chcą
Morskiej wolności narów i spoprężyć jej grzbiet.

Już rumak ujarzmiony. Bodzie go statków kil,
W bokach ma kotwic szpony, już ciągnie ludzki pług,

Do okrętowych pudeł wprzęgnięty... Raptem gniew
Stroszy mu wichry kudeł, bieli posoką pian...

Z granitowej hołobli wyrwał grzywiasty kark,
Zatupał po grobli i umknął w wodny step...

Toń głąb' ma niezmierzoną: długi je czeka spad,
Zanim do dna dotoną, topielce fregat, szkun...

Tam to ziemskie wspomnienia: poddańczych piętno hańb
Z swej pamięci wyplenia ocean — głębin pan.

II.

Ale zapomnieć ląd, zapomnieć, jak się gwarzy
W miątkiej, słonecznej plaży, zapomnieć — próżny trud!

Pamięta, w skwary, toń te cuda nagiej bieli —
Lądowych dziew w kąpielu — te cuda lic i łoni!

Ramion tych białych żal, które, poobnażane,
Zćmiewały bielą pianę, burzucą się, jak dąs!

Żal szafirowych ocz, których słodkie owale
Wstydziły barwą fale: taki w nich szafir grał!

I kiedy ciałem wzdłuż kładąc się, powierzały
Morzu swój ukształt biały... Jak zapomnieć ten cud?

On, cud, leży bez trwóg, a ono, żywa fala
Z nim swój żywioł zespala: łączy z lazurem bieli!

O jakże słodki brzeg! Jaka rozkosz wielmożna!
Zapomnieć jej czyż można? ach szczęśny, kto ją znał!

Jako symfonii rytm, zawsze będzie w nim żyła,
Kogo falą spowiła ugrzaną latem raz.

Przynęci go jej zew aromatów powiewem,
Miłosnych canzon śpiewem: na ląd! na ląd!

Venus rzeźbionej tors, cyprysów z bluszczem sploty
I mimoz okwiat złoty, i agaw woń i róż...

O lądzie plaż i ciał! O rozkoszy wielmożna!
Zapomnieć cię czyż można, skoroś poznana już?

Wonią nardów i ambr przepojone wspomnienie
Już zawsze, nieskończenie szarpać będzie, jak szpon!..

III.

Raz ku głębinom, w dale, odpływa morska ciecz,
To znów do lądu, wstecz powraca, w tęsknot szale.

W zatoki wbiegła kąt, wciska się w ląd i wtula,
I ziemskość ją zamula, jak trądl jak trądl

Płynę, płynę powrotnie, od brzeżnych łąch i raf.
Głębio, od wspomnień zbaw! Płynę w twoją samotnię.

O niech mi twoja głąb' zmyje wodą odmětną
Przyziemnych zbrukań piętno! Odmęcie, kąp mię, kąp!

Otom już wykąpana, fala'm najczystsza z fal,
I już mi... lądu żal i białych ciał, jak piana.

Ach, tam mi płynąć ztąd! Tam mi błoga spokojność,
Krzepka dżynem upojność! Hejże, na ląd, na ląd!

Otom na lądzie znów, grzechocze żwirem plaża,
Jak grzech, słodko pogwarza melodia ludzkich słów.

Jakże cudni ci ludzie nadzy, splątani w kłęb'!
Morska mi nie da głąb' pojęcia o tym cudzie.

W szynkach żeglarski gmin, prześmiardły kabli smarem,
Miłość odymia warem — miłość, jak dżyn, jak dżyn!

Kłębią się i z nóg walą, w dymach, w odorze kuf...
Płyn w czyste głębie znów, powracaj, błędna falo!

Spiętrzona w piany słup, grzesznej, jak dżynu wonie,
Płyn w otchłaniowe tonie ciche, jak grób, jak grób.

Tak się ocean kłębi. Zwą go tęsknoty dwie:
Jedna do lądu zwie, a druga zwie — do głębi.

IV.

Syt gwaru, syty cisz, odmęt wybucha wwyż,
Do Seleny, księżycy: to trzecia wód tęsknica.

Od księżycowych lśnień, świetlaniej mu, niż w dzień.
Wszystkich tęsknot swym bólem umiłował tę kulę.

Nad morzem lśni jej sierp, jak z nieba nakaz: — Cierp!
Faluj i tęsknij, wodo! — szepcze poświatą młodą.

Ocean rzuca ląd, zbiera tęsknicy wrząt
I rozpienioną rosą wybucha ku niebiosom.

Otom z otchłani wskrzesił! Otom jest bezmiar łez!
Płaczę bólów Gehenną, o Seleno, Seleno!

Od głębinowych den, po wierzch mię wzięłaś w len
Świetlanością promienną, o Seleno, Seleno!

Jak zaświatowa baśń, twoja srebrzysta jaśń
Umłowania łuną świeci mi, Luno, Luno!

Tak los ciężeniem sprzągł odmet i Luny krąg,
Nakazał tryskać falom wwyż, ku nadziemskim dalom.

Wyżyna, głąb' i ląd: trójfalowania prąd,
Jakoby trójrytmiczny oddech oceaniczny.

Raz fala mknie na brzeg, drugi jej — w otchłań bieg,
A trzecia wód tęsknica — do Seleny, księżycy.

Od lądu — w przestwór gna, do własnej głębi dna,
I od głębi, od wnętrza — do Seleny toń spiętrza.

Ze wszystkich świata stron ocean rzekom schron,
Sam, tułaczo w dnie, noce, kłębi się i szamoce.





The following is a list of the names of the persons who have been
admitted to the office of the Secretary of the Board of Education
since the last meeting of the Board.

Admitted to the office of the Secretary of the Board of Education
since the last meeting of the Board.

Admitted to the office of the Secretary of the Board of Education
since the last meeting of the Board.

Admitted to the office of the Secretary of the Board of Education
since the last meeting of the Board.

Admitted to the office of the Secretary of the Board of Education
since the last meeting of the Board.

Admitted to the office of the Secretary of the Board of Education
since the last meeting of the Board.

Admitted to the office of the Secretary of the Board of Education
since the last meeting of the Board.

SPIS RZECZY.

	str.
POŻYTEK I PIĘKNO	9
Dziłość i swojskość.	13
Dwa herby	17
Baśń o prawdzie	20
Płosenka o smoku	23
Płosenka o królu i o damach	26
Dyalog I	30
Kawior i cytryna	34
Bajka o brylancie	37
Dyalog II	40
Związek	44
Kwiat i żaba	47
Gość w domu — Bóg w domu	54
Ferye	64
Polowanie	69
Mąż i kochanek	73
Żona i kochanka	76
PRIMA CHARITAS AB EGO.	81
Bal	84
Dobroczynność	88
Res sacra miser	93
Wenta	95
ABECADŁO	101
SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ!	117
BAJKA O RYBAKU I RYBACZCE	135
MELODYA DZWONÓW	143
Z Genui	144
Mur	145
Galatea	146
Maria-Mari	146

	str.
Piękna rzecz	148
Chcę, byś mi twoje oczy	150
Strącony okwiat	151
Przyjdzie wiosna	152
Noc majowa	153
Pompeii	154
Wenecja	155
Obce miasto	165
Nokturn	168
Jesień	161
Bez róż	165
Tum	167
Z Petrarki	196
RYTM ŻYCIA	173
Asceza	184
Wolność	186
Wojna i pokój	188
Wysoko i nisko	191
Dwie drogi	192
Żywoć człowieka pocztowego	196
Dwa bieguny	202
Złota legenda	205
Najrzeczywistszy byt	212
WENECJA	217
BARKAROLA	231
TOŻ SAMOŚĆ	247
TRÓJRYTM	257

Składał Jan Kiliński. Odbijał na maszynie Juliusz Wilkoszewski.

Pod kierunkiem Józefa Lenartowicza.

Ozdoby w tej książce Edwarda Trojanowskiego.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314890



000-314890-00-0